◆ T. BOROWSKI ◆ M. BRANDYS ◆ P. HERTZ ◆ J. IWASZKIEWICZ ◆ M. JASTRUN ◆ W. SŁOBODNIK ◆

ODRODZENIE

TYGODNIK

Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok VI | Warszawa, dnia 31 lipca 1949 r. | Nr 31 (244)

JANUSZ BOGUCKI

REFLEKSJE POZJAZDOWE
NA TEMAT PLASTYKI

Katowicki zjazd plastyków ocenić można jako dialog o niewątpliwej wadze historycznej między mecenatem państwowym, a społecznością artystów. Istotnym wynikiem tego zjazdu wydaje mi się wzajemne i konkretne uświadomienie sobie treści i kierunku wspólnej pracy artystów i mecenatu, a w pewnej mierze również metod i narzędzi potrzebnych do jej wykonania. Osiągnięcie tego wyniku jest niewątpliwie w wielkiej mierze zasługą naszej polityki kulturalnej, która z pełną zrozumienia rzeczywistości rozwagą, zainicjowała tę podstawową dyskusję z plastykami wtedy dopiero, gdy kilkuletnia wymiana poglądów i narastanie nowych faktów artystycznych stworzyły realną podstawę do jasnego określenia stanowiska plastyki polskiej w rozwoju naszego życia społecznego. Dzięki temu zjazd katowicki w swej treści dyskusyjnej nie był imprezą przypadkową, lecz naturalnym wynikiem procesu dojrzewania świadomości artystycznej naszych plastyków, procesu, który — sądząc po wypowiedziach zjazdowych — dobiegł do końca swego wstępnego stadium. To wstępne stadium dało nam dotychczas pierwszy ogólny rozrachunek z postawą społecznego estetyzowania i ustawiło świadomość artysty w nowej rzeczywistości historycznej, w praktyce zaś przyniosło rozproszone jeszcze, ale już widoczne próby odpowiedzi na nowe potrzeby życia zbiorowego. Próby te powstawały najczęściej wprost pod naporem życia, zdala od świata „salonów" i abstrakcyjnych rozmów o samodzielnej egzystencji kolorów, konstrukcji i faktur. W ogólnym nurcie plastyki próby te dały wyniki najpełniejsze w dziedzinach już z natury swej bardziej uspołecznionych jak scenografia i grafika, sztuka ekspozycyjna i sztuka warsztatowa przenikająca stopniowo i z uporem, choć nie bez trudu w dziedzinę wytwórczości seryjnej. Próby realizacji malarskich, na których czele stoi zamknięty już dorobek Felicjana Kowarskiego — są jeszcze bardzo rozproszone i nie dość sprecyzowane w swym charakterze. Fakt jednak, że wielu artystów odważnie je podjęło, nie lękając się ryzyka błędów i omyłek — świadczy o żywotności naszej sztuki i o tym, że dyskusja malarska nie toczy się dziś u nas ani wbrew faktom, ani obok faktów.

w kompozycjach ściennych, jak stalugowych.

Jako przykład konsekwentnej i świadomej ideologicznie próby zbudowania obrazu o aktualnej tematyce, wymienić można prace Heleny Krajewskiej, które załączam tu w trzech reprodukcjach obrazujących trzy, dość typowe fazy rozwojowe. Pierwszą fazę reprezentuje obraz, w którym geometryzujące odkształcenia postaci i przedmiotów świadczą o przewadze postawy formalistycznej nad realnością widzenia. W drugiej fazie artystka w dążeniu do oparcia swej wizji o bezpośrednie studium tematu, odrzuca abstrakcyjną geometryzację, nie od razu jednak dać może w zamian zdecydowaną syntezę realistyczną: studia scen fabrycznych z tego drugiego okresu cechuje mimo zwartości kompozycyjnej pewna powierzchowność i przypadkowość osłabiająca ich sens treściowy. Sens ten występuje silniej dopiero w ostatnich pracach Krajewskiej, gdzie artystka, stawiając sobie wyraźne zadanie treściowe i tematowe, stara się je rozwiązać przez eliminację zbytecznego materiału spostrzeżeniowego i wydobycie środkami czysto malarskimi ideowego sensu kompozycji. Tak np. w obrazie „Przodownica pracy" postać centralna wyeksponowana jest — bez naruszenia naturalnego układu powszedniej sceny z życia — samym tylko rozwiązaniem kompozycyjno-kolorystycznym. Warto podkreślić, że w rozwiązaniu tym, mimo zdecydowanego odrzucenia dawniejszej postawy artystycznej, występuje świadome wykorzystanie zdobytych poprzednio doświadczeń malarskich.

To przewartościowywanie różnego typu osiągnięć eksperymentalnych stanowi już dzisiaj zjawisko bardzo rozległe, widoczne w wielu dziedzinach twórczości plastycznej. Zjawisko to zarysowuje się w sposób szczególnie interesujący w zakresie grafiki, a zwłaszcza sztuk operujących konstrukcją przestrzenną, jak kompozycja wystaw i scenografia. Jako przykłady podać tu można nacechowaną dowcipem i poezją dekorację K. Mikulskiego do sztuki dziecięcej „Kozia opera" (Teatr „Groteska" w Krakowie) oraz pomysłowe rozwiązanie pawilonu komunikacji na ostatnich Targach Poznańskich. Oceniając pozytywnie przewartościowywanie elementów abstrakcjonistycznych i surrealistycznych widoczne w obu podanych tu przykładach — trzeba się jednak zastrzec, że obok cennych wartości wnosi ono dziś jeszcze ze sobą poważne niebezpieczeństwo. Cenne wartości widzę np. w jasności konstrukcyjnej i trafnej metaforze plastycznej, które przeniesione z warsztatu doświadczalnego na grunt realnych zadań, pozwalają na wizualne określenie treści pojęciowych, procesów gospodarczych i technicznych nie dających się zamknąć w ramach stalugowego obrazu. Wady i niebezpieczeństwa wielu realizacji scenograficznych oraz imprez takich jak WZO albo Targi, widzę w nieprzezwyciężonym wciąż jeszcze kulcie formalnego dowcipu, ujawniającego się w stosowaniu symboli i metofar tak wymyślnych i odległych od wątku treściowego, że bez objaśnień autora niesposób dociec ich roli w ogólnym układzie. Zastrzeżenie to, jakkolwiek poważne, nie podważa zasadniczej wartości osiągnięć naszej sztuki ekspozycyjnej. Sztuka ta odgrywa niemałą rolę w kształtowaniu nowego typu wyobraźni, nowego języka znaków i symboli plastycznych w oparciu o bezpośredni związek z treścią współczesnych przemian historycznych i gospodarczych. Dlatego — chociaż nie posiada ona wymowy tak trwałej i skondensowanej, jak malarstwo — należy sądzić, że będzie miała swój istotny udział w kształtowaniu się pełnej sztuki realistycznej, zdolnej wyrazić całe bogactwo i różnorodność tworzącej się dziś epoki. Nie sądzę bowiem, aby realizm tej epoki mógł się wypowiedzieć w samej tylko przekazanej nam tradycją formie obrazu. Człowiek współczesny czyniący dziś świadomy obrachunek z całą przeszłością zbyt daleko rozszerzył granice swego poznania poza doświadczenie zmysłów i pamięć oka. Realność naszego widzenia obejmuje dziś całą przestrzeń ziemi, na której odbywa się walka o pokój i sprawiedliwość społeczną, obejmuje również całą przestrzeń historii wartościowanej dziś przez nas na nowo. Nasza realność widzenia to także obszar współczesnej wiedzy o budowie materii, to fizyka i biologia, to wreszcie zawrotne horyzonty postępu technicznego i władzy człowieka nad przyrodą. Człowiek współczesny żyje, a w miarę rozwoju oświaty żyć będzie coraz pełniej tą świadomością rozszerzoną nieskończenie poza krąg osobistych powszednich doznań w szkole, w domu, świetlicy i warsztacie pracy. Istotną miarę i znaczenie tym doznaniom nadaje ów rozszerzony plan widzenia, w którym nasz dzień powszedni wyrasta ponad prywatne ludzkie losy. Toteż realność wizji malarskiej współczesnego życia nie może być ograniczona do rejestrowania faktów w postaci opartej tylko na bezpośrednim wrażeniu wzrokowym. Wizja ta będzie realistyczna tylko wtedy, gdy — nie tracąc organicznego związku z kształtem natury — potrafi go określić i ustawić w owym rozszerzonym planie widzenia, w planie wiedzy, pojęć i dążeń człowieka współczesnego. Myślę, że aby tego dokazać nie wystarczy powrócić do studium natury opartego o tradycje dawnych realizmów (jakkolwiek i ten kierunek pracy ma swoją doniosłą rolę pomocniczą) — że trzeba natomiast ujrzeć otaczający świat w owym rozszerzonym planie poznawczym i stworzyć środki plastyczne określające ten plan, to znaczy określające dążenia, pojęcia i wiedzę człowieka współczesnego, o ileż bardziej rozległe i przenikliwe od dążeń, pojęć i wiedzy, właściwych epokom ubiegłym. Tak więc u podstaw naszego realizmu leży problem plastycznego określenia idei i pojęć precyzujących stosunki między zjawiskami i dających miarę ich wartościowania.

Plastyczna interpretacja idei i pojęć, to nowa budowa wizji malarskiej czy przestrzennej (rzeźba, architektura), nowy sposób łączenia, czy przesuwania planów, to akcentowanie lub gaszenie przedmiotów nie według prawideł złudzenia lecz według wiedzy o ich sensie i wartości, to wreszcie cała dziedzina metafory plastycznej, unaoczniającej myśli i procesy rozwojowe, które z natury swej nie mieszczą się w powszednim doświadczeniu ludzkiego oka. Ta nowa wizja świata określająca *treść* naszych czasów a nie tylko jej *zewnętrzne przejawy* — wymaga zarówno stworzenie nowych konwencji w budowie stalugowego obrazu, jak nowego typu konstrukcji przestrzennych, w których architektura wespół z innymi gatunkami plastyki wyrażać będzie mogła całą rozległość i wieloplanowość naszego życia i naszej świadomości. Aby wyjaśnić bliżej o co mi chodzi, podam taki oto konkretny przykład: gdy malarza w dobie „dwudziestolecia" trapiły wizje astronomiczne, lokował je zwykle na pułapie kawiarni, lub jakiejś urzędowo-uroczystej sali, w postaci ładnej mapy nieba, z mleczną drogą, zodiakami i amorkami. Rzecz sprowadzała się do problemu recepcyjno-zdobniczego zgodnie z zapotrzebowaniem epoki. Sądzę, że dziś temat ten, powinien być rozwiązany w wielkim hallu nowoczesnego obserwatorium, planetarium lub muzeum, poświęconemu rozwojowi wiedzy. Wyobrażam sobie dalej, że dzisiejszy realista świadomy swych zadań społecznych nie poprzestanie na ozdobieniu ofiarowanej mu sali znakami gwiaździarskimi i konterfektami kilku sławnych astronomów. Sądzę natomiast, że artysta taki powinien jeszcze przed powstaniem budynku, w którym ma umieścić swoje dzieło, zasiąść do opracowania całej roboty wespół z architektem i fachowym znawcą tematu. Dopiero w wyniku ich współpracy myślowej powstać może zarys wizji architektoniczno-plastycznej określającej dzieje systemów astronomicznych, rozwinięte w planie współczesnej wiedzy. Dzieło architekta da szkielet konstrukcyjno-przestrzenny tej wizji, wyznaczający miejsce dalszym elementom rozwiązania plastycznego, według technik i materiału (polichromia, sgrafitto, rzeźba, szkło, metal, sztuczne światło itd.) i według wątków tematowych (historia wyobrażeń o budowie wszechświata, jej związek z ogólnymi procesami społeczno-ideowymi, rola twórczych jednostek i ośrodków badawczych w tej dziedzinie wiedzy itd.). Widzę ostateczny wynik tej pracy nie jako estetycznie rozmieszczony cykl kompozycji z życia astronomów i ciał niebieskich, ale jako ciągły, zmienny i wielokształtny obraz dziejów ludzkiej myśli i wyobraźni w pracy nad przeniknięciem mechanizmu i budowy wszechświata. Ciągłość obrazu — to ciągłość tych dziejów, w których szkoły i pokolenia przekazują sobie twórczy wątek myśli i doświadczeń wydobywający się stopniowo spod uroku mitologicznych stylizacji. Dopiero w takim obrazie ciągłości rozwojowej znaleźć mogą właściwe miejsce wyobrażenia konkretnych systemów, odkryć, zdarzeń, ludzi, ich wzajemnych stosunków i znaczeń, które plastyk określa sposobem osadzenia poszczególnych, elementów tematu w całości układu, wyborem techniki i materiału, cech kolorystycznych, fakturalnych itd.

Zamykając ten opis nieistniejącego dzieła, muszę jeszcze podkreślić, że zilustrowana nim metoda pracy powinna z równą słusznością odnosić się do wszelkich zadań wykraczających treścią poza ramy jednego zjawiska czy zdarzenia, dającego się rozwiązać środkami malarstwa stalugowego. Pracując więc nad odrodzeniem tego malarstwa nie lekceważmy równocześnie dyscyplin „łatwiejszych", które jak np. plastyka ekspozycyjna przybliżają nas do nowej syntezy gatunków plastycznych opartej o bezpośredni i naturalny związek z architekturą a zdolnej wyrażać nie tylko pojedyncze zjawiska, ale ich przemiany w czasie, nie tylko przedmioty, ale i konstrukcje myślowe. Oto garść uwag o typie dotychczasowych osiągnięć, i dalszym rozwoju nowej sztuki realistycznej — zapisanych na marginesie zjazdu katowickiego; zjazd ten zamykając pierwszą postulatywno - teoretyczną część dyskusji o plastyce, zapowiada szeroką podstawę organizacyjną, na której rozproszone dotychczas fakty artystyczne będą się mogły rozrastać i mnożyć, tworząc rozległe i realne podłoże do dyskusji szczegółowej, do konkretnej oceny dzieł i metod pracy. Stojąc więc u progu tego drugiego etapu naszej drogi, warto sobie zdać sprawę, jakie zjazd ujawnił momenty sprzyjające i jakie przeszkody dla realizacji nowych zadań. Strony pozytywne tego rachunku starałem się określić w pierwszej części artykułu, znamy je także z publikowanych sprawozdań. Warto z kolei słów kilka poświęcić przeszkodom, które są dwojakiego rodzaju: zewnętrzne i wewnętrzne. Do przeszkód zewnętrznych należy zaliczyć nieudolne i fałszywe próby pseudo-realizmu, których produkcja, dość okazale ostatnio ujawniła się w malarstwie. Do przeszkód wewnętrznych — irracjonalny lęk, jaki wielu wybitnych plastyków odczuwa przed grożącym rzekomo zalewem tej pseudo-realistycznej tandety. Jako wylęgarnię lichego pseudo-realizmu wskazuje się czasem owe nieszczęsne „salony", których uczestnicy pod zabawnym mianem „niezależnych" przerabiają wciąż jeszcze niedołężny schemat obrazka naturalistycznego lub secesyjnych kompozycji, schyłkowych lat warszawskiej „Zachęty". Zjawisko to jednak ma dziś raczej charakter ginącego rezerwatu skazanego na naturalny uwiąd i zanik. Groźniej znacznie natomiast przedstawia się prawdziwy wyrój kiepskiego malarstwa okolicznościowego, który obserwujemy ostatnio, zwłaszcza w związku z ważniejszymi uroczystościami i obchodami. Przede wszystkim zwrócić należy uwagę na bardzo wątpliwe wyniki masowego malowania portretów przodowników pracy z okazji tegorocznego obchodu pierwszomajowego. Pół biedy bowiem jeśli niezdarny naturalizm uprawia jakaś grupa malarskich niedobitków dla własnej przyjemności, znacznie gorzej, gdy fala takiego naturalizmu zalewa kraj w ramach uroczystości państwowych. Szlachetny cel i dobra wola portrecistów nie zmieniają faktu, że zadania swego w ogromnej większości wypadków nie umieli oni wykonać. Oceniając pozytywnie inicjatywę malowania takich portretów trzeba gruntownie zrewidować zarówno jej stronę organizacyjną (improwizacja świąteczna obliczona na rezultat ilościowy) jak i malarską. Przysłuchiwałem się pilnie wypowiedziom zwykłej „niefachowej" publiczności, na wystawie portretów robotniczych w Krakowie. Sens tych wypowiedzi ujęła najzwięźlej pewna roztropna panienka, maszynistka biurowa, mówiąc: „ci robotnicy nie przodują lecz pozują". Oto proste sformułowanie fałszywej nierealistycznej postawy portrecistów, którzy zwietrzały konwenans i naturalistyczną przypadkowość widzenia dali tam, gdzie trzeba wypracować nowe środki malarskie określając nową treść indywidualną i społeczną człowieka — przodownika pracy.

Jeśli bez owijania w bawełnę omówiłem tutaj tę sprawę, zaliczającą się do rzędu trudności i przeszkód zewnętrznych dla rozwoju malarstwa, to sądzę, że na niemniej wyraźne oświetlenie zasługuje sprawa trudności wewnętrznych tkwiących jeszcze w postawie znacznej ilości plastyków, a przede wszystkim malarzy. Otóż w postawie tej, wypowiedzi zjazdowe ujawniły jakiś wspomniany już, ton niepewności i trwogi, czy aby na drodze do realizmu mającego wyrazić treść życia naszej epoki, nie czeka nas zalew naturalistycznego kiczu. Obawy te mają wprawdzie częściowe uzasadnienie w związku z wynikami imprez organizowanych zbyt doraźnie i pośpiesznie jak to np. miało miejsce w portretowaniu przodowników. Trzeba jednak stwierdzić, że niepowodzenie tej czy innej imprezy „realistycznej" jest przede wszystkim wynikiem zbyt wstrzemięźliwego udziału artystów, którzy zdolni byliby dać rozwiązania prawdziwie odkrywcze i trafne. Jeśli np. w Krakowie na wystawę pierwszomajową na temat pracy, najwybitniejsi malarze dali na ogół tylko szkice i wrażeniowe studia — to nic dziwnego, że w rachunku całości przeważały liczniejsze i okazalsze dzieła dobrej woli i lichego pędzla. Gorsi malarze zawsze będą istnieć obok dobrych, chodzi tylko o to, kto nadaje ton malarstwu. Kiepskich obrazów nie będzie się trzeba obawiać, gdy sprawę realizmu wezmą na warsztat twórcy z prawdziwego zdarzenia. Skoro zaś sprawę tę uznają za słuszną i potrzebną — niechże przepędzą od siebie jałowy lęk i wezmą się odważnie do roboty. To jest jedyny i niezawodny sposób na unieszkodliwienie partaczy. Trzeba tylko przystępując do pracy pozostawić za sobą obawy i melancholijne refleksje, a uzbroić się w odwagę i agresywność wobec atakowanego problemu. Tylko taki atak frontalny przeprowadzony na płótnie w oparciu o rozległe i przenikliwe widzenie rzeczywistości — pokaże na jaki realizm stać naszą sztukę.

Nie jestem świątecznym optymistą i wiem, że na drodze do zbudowania pełnej wizji realistycznej naszych czasów, przełamać wypadnie wiele trudności i niebezpieczeństw zarówno w samym biegu pracy artysty, jak i w jej organizacji. To trudno — celów wielkich i nowych nie osiąga się małym wysiłkiem i tradycyjnymi metodami. Świadomość tego powinna być dla nas nie źródłem obaw, lecz dźwignią woli twórczej, ambicji i wyobraźni. Jeśli potrafimy je w sobie zmobilizować i damy epoce dzieło godne jej wielkości — cóż znaczyć będzie uboczna produkcja nieporozumień i błędów, choćby czas jakiś wlokła się jeszcze za nami? Bądźmi pewni, że w opinii współczesnej i w rozrachunku z historią nie ona będzie znaczyć, lecz istotny wynik naszej postawy i pracy.

Janusz Bogucki

fot. Janina Mierzecka

Helena Krajewska — Śniadanie

fot. H. Kukowski

Helena Krajewska — Czyszczenie odlewu

fot. H. Kukowski

Helena Krajewska — Przodownica pracy

TADEUSZ BOROWSKI

DZIEŃ PLANTATORA

Dwaj opaleni, tłuści chłopcy wlekli się ulicą, starannie unikając słońca i stawiając stopy po środku chodnika. Rozpalone kamienie parzyły przez cienkie podeszwy sandałów, powietrze ciągnęło się jak mdły syrop. Nad ulicą wisiał suchy kurz i osiadał na anemicznych, podgolonych akacjach, które stały wśród ruin nieruchome i cierpliwe. W budce lśniły pod pergaminem żółte czereśnie i rozpływały się w koszykach przezrzałe truskawki.

— Odmówił mi informacji w sprawie rozmieszczenia agentów w teatrze — powiedział pierwszy. Był w pomarańczowej koszuli, uszytej z jedwabiu spadochronowego, miał na sobie krótkie szorty z gabardiny i niósł rakietę tenisową. Wiosną złożył pracę magisterską na Akademii i piąty tom wierszy w Wydawnictwie, namiętnie kochał piłkę nożną i był pełen wspomnień z konspiracji. Mówił dalej: — Spotkałem go w końcu powstania i pomyślałem sobie, czy nie rąbnąć z parabelki. Akurat miałem piękny gnat. Powiada do mnie: „Kolego, jestem całym sercem przy was. Podobno von dem Bach kazał mężczyznom wychodzić z Warszawy. Wy jak?"

Roześmiał się i podrzucił rakietę w ręku. Drugi w blezerze obejrzał się za tamtym. Auto minęło budkę, podjechało do skrzyżowania i zatrzymało się z piskiem hamulców. Redaktor wyglądał przez okienko, niewyspany, zmęczony i zły. Policjant odwrócił się sztywno na okrągłym piedestale i opuścił dłoń. Pierwszy woźnica zaciął konia i furmanki ruszyły przez skrzyżowanie.

— Masz go znowu w pierwszej linii — rzekł blezer, wypluwając pestki czereśni. — Trzyma krok w marszu do socjalizmu. Dwa tygodnie siedział z szoferem w Zakopanem, codziennie jeździł kolejką na Kasprowy, bo tam sznycle są najlepsze. Masz pojęcie!

— Zakopane to burdel — rzekł lekceważąco pomarańczowa koszula. Zamachnął się rakietą, próbując beckhandu i dodał: — A pamiętasz, co pisał o Amerykanach? „Literatura amerykańska sieje pornografię i propaguje imperializm, o czym się będziemy mogli sami niedługo przekonać, gdyż wydawnictwa przystępują do masowych przekładów".

— Każdy robi kulturę i pieniądze, jak umie — powiedział filozoficznie blezer.

Doszli do skrzyżowania i stanęli, czekając, aż przejadą furmanki. Na rogu ulicy robotnicy podkopywali bunkier niemiecki. Za bunkrem na podwórzu spalonej kamienicy rozłożył się magazyn firmy budowlanej. Furmanki z cegłą wjeżdżały w otwartą bramę.

— Piekielny żar — mruknął blezer. — Ogień z nieba. Wiesz, tutaj była pierwsza łapanka w czterdziestym. Mego kumpla zagarnęli, szedł zdawać maturę na kompletach. Zdał, ale już po wojnie. Na matematyce jest.

— Ja kiedyś omijałem z chłopakami łapankę na Żoliborzu — rzekł pomarańczowa koszula i rozejrzawszy się, usiadł na kupie kamieni. — Poczekamy, póki kobylarze nie przejdą. No, i wyszliśmy aż nad Wisłę i brzegiem, brzegiem na Bielany, do lasku. Mieliśmy piłkę, odwaliliśmy trzy mecze do wieczora.

— Między drzewami? — spytał z powątpiewaniem blezer.

— A coś ty myślał! — zaśmiał się z dumą pomarańczowa koszula.

Redaktor niecierpliwie wychylił się przez okienko. Szofer spokojnie odchylił głowę na oparcie i mrużąc oczy przed słońcem, przyglądał się ulicy.

Blezer usiadł z rezygnacją koło pomarańczowej koszuli i wyciągnął z teczki tygodnik angielski. Trzy piękne, roześmiane kobiety, tancerki z nowego filmu wielkiej Anny Neagle, tańczyły na błyszczącym parkiecie porywającego kankana. Powiewały zalotnie wachlarzami z czarnych piór i podnosiły wysoko nóżki, odsłaniając obfite koronki i smukłe uda, przewiązane czarną podwiązką.

— Ależ nóżki — rzekł smakowicie pomarańczowa koszula i potrząsnął rakietą.

— A co tam musi być w środku! — roześmiał się blezer i rozłożył tygodnik. Nie zwracając uwagi na ogłoszenie wstążek Bandbox, reklamę pudru Pond, pasty do zębów „Ipana", okularów Horlicka, płynu Zam - Buk, pasty Phillipsa, maszynek do włosów Amami, pantofli Dunlop, kremu Skin Deep, mydła Sunlight, rękawiczek Dent, tapet Sandersona, plażówek Jantzena, samolotów Aer Lingus, kuponów National Savings — zagłębił się w reportażu ilustrowanym „Plantator w obliczu terroru na Malajach". Plantator, mężczyzna o suchej, złej i zaciętej twarzy człowieka, który zwykł rozkazywać i karać za nieposłuszeństwo, odpoczywał w willi po dniu znojnej pracy. Pokój willi był obszerny, miał jasne i szerokie okna, za którymi pleniły się bujne kwiaty i rozpościerała się dżungla. Plantator założył nogi na mahoniowy stolik, na którym stała lampa z barwnym kloszem i czytał gazetę. Pod głowę podłożył sobie wzorzystą poduszkę. Obok niego stał na podłodze karabin maszynowy i leżał gotowy do zabrania plecak. „Konwencjonalne zdjęcie brytyjskiego plantatora na Dalekim Wschodzie — lecz trochę inne" tłumaczył dosłownie blezer. Nie znał dobrze angielskiego, nauczył się języka z gazet.

„Jego dzień pracy skończył się już. Słońce zaszło, więc czas odpocząć. Lecz przy nim, zamiast tradycyjnej whisky z sodą stoi karabin maszynowy Bren. Na zewnątrz wartownik Malajski pilnuje go przed bandytami. Pan A. S. Taylor, właściciel plantacji kauczukowej o obszarze 1866 akrów, korzysta z kilku chwil wytchnienia od grożącego niebezpieczeństwa napadu bandytów komunistycznych. Był uwięziony przez Japończyków przez prawie trzy lata. Na takich ludziach opiera się panowanie Wielkiej Brytanii na Malajach".

To powinno się skończyć, pomyślał pomarańczowa koszula. Tom poety wychodzi w trzech tysiącach nakładu; w ciągu roku sprzedaje się pięćset egzemplarzy. Honoraria płacą regularnie, lecz co z tego? Stajemy się poetami salonu i narzekamy na analfabetyzm i brak kultury. Awangarda była poezją dla dwunastu, ale nigdy dwunastu ludzi nie czytało naraz „Razu" Peipera. Poeta zamienia się w pustelnika. Do cholery, nie jestem eremitą! Muszę się zacząć uczyć od nowa. Sonety Haushofera są bardziej przejmujące niż KZ — Berichty, wiersze Mao-Tse-Tunga nosi każdy żołnierz chiński w plecaku. Eh, gdyby tak Polacy nosili Pomarańczową Koszulę!

— Piekielny żar — powiedział ze zmęczeniem pomarańczowa koszula. Poezja, pomyślał, musi być własnością narodu, inaczej nie warto żyć.

— Posuń się w cień — powiedział blezer i odwrócił stronę. Dalsze fotografie opowiadały o dniu plantatora. Plantator z rana przygląda się bacznie, aczkolwiek dobrotliwie, małej chińskiej dziewczynce w chustce, nacinającej drzewo kauczukowe. „Z niego — głosił podpis — popłynie mleczna guma, zwana latex. Dozorując robotników plantator część uwagi poświęca dżungli, ścielącej się za jego plecami, z której w każdej chwili mogą wypaść bandyci". Plantator przygląda się nosicielom gumy, pracującym pod dozorem uzbrojonego żołnierza, plantator przygląda się czyścicielom, plantator przejeżdża Chevroletem przed bunkrem, broniącym plantacji. Plantatora pilnuje 32 żołnierzy. Specjalna policja malajska przeszukuje dżunglę, rewiduje przechodniów i mieszkańców, przeprowadza akcje zbrojne, ostrzeliwując artylerią podejrzane strefy dżungli i stepu. Ostatnie trzy zdjęcia pokazywały akcję karną. Żołnierz wywaliwszy nogą drzwi chaty wiejskiej, nie znalazł w niej bandytów, więc, co pokazuje mniejsze zdjęcie, chata została podpalona. Ostatnia fotografia przedstawiała ludzi, „którzy zamącili pokój na Malajach". Pewien patrol — mówił podpis — natknął się na swoją zwierzynę. Siedmiu bandytów zostało rozstrzelanych i wystawionych na widok publiczny. Położono ich na asfalcie przed kwaterą główną policji. Byli to młodzi, półnadzy chłopcy o szeroko otwartych ustach.

Ileż to człowiek widział trupów! — pomyślał blezer. — Kiedyś przyniesiono do trupiarni człowieka, który próbował ucieczki z kopalni. Schwytano go i powieszono. Nocą przed powieszeniem człowiek ten wypisał na piersi koślawymi literami: „Koledzy, pomścijcie mnie! Precz z SS! Niech żyje wolność!" i inne hasła, które zajmowały mu całą, szeroką i odętą pierś i zbiegały na brzuch. Oglądaliśmy go w milczeniu, jak tysiące innych, pomyślał blezer. Ileż razy człowiek w milczeniu przysięgał! Pomarańczowa koszula podniósł się z kupy kamieni. Policjant pokazał nad głową dłoń i ażno odwrócił się na okrągłym piedestale. Ostatnia furmanka przejechała przez placyk i potoczyła się ulicą. Auto z redaktorem skręciło w aleję i cicho odjechało.

— Niedługo już mu tego jeżdżenia — mruknął pomarańczowa koszula. — Ma sprawę w kontroli. Wyleci na zbity pysk. Cholera, kiedy my wyczeszemy ich wszystkich! Dawaj, na drugą stronę! Blezer przeglądał zdjęcia z nowego filmu Anny Neagle. Anna stała na podwyższeniu, wokół niej tańczyli mężczyźni i kobiety, wabiąc podarunkami i strojami.

Pomarańczowa koszula podbił mu rakietą gazetę i powiedział:

— Przechodzimy! Co tam się stało w gazecie?

— Oh! Cała epoka! — roześmiał się blezer.

Włożył tygodnik do teczki i pędem przebiegli przez jezdnię, połykając suchy kurz, który wiatr zakręcił nad ulicą.

Tadeusz Borowski

Santiago de Compostela

Otyły, łysy i spocony knajpiarz Bernardo siedział przy otwartym oknie „Gospody Apostolskiej" i bębniąc palcami po parapecie, cierpliwie czekał na samochód. Samochód wzbijając żółte kłęby kurzu ześliznął się wyboistą drogą po zboczu, minął gotycką katedrę, otoczoną pięknym i starym cmentarzem, na którym leżeli książęta i krzewiły się róże, wjechał na rynek miasteczka, przyhamował i zatrzymał się przed knajpą. Knajpiarz Bernardo podniósł się z westchnieniem od parapetu, wytarł mokrą ścierką zatłuszczoną ceratę stolika i otworzył oszklone drzwi „Gospody Apostolskiej". Z samochodu wysiadł major amerykański i podał dłoń towarzyszce. Dziewczyna wyskoczyła lekko z auta, strząsnąwszy złote włosy, które wiatr rozczesywał jej na policzek. Knajpiarz Bernardo znowu wzruszył się wspomnieniami i zamrugał szybko oczami. Kochankowie przekroczyli próg „Gospody Apostolskiej" i zamówili obiad. Knajpiarz Bernardo otworzył okienko w drzwiach do kuchni i wrzasnął na służącą. Kochankowie usiedli przy stoliku i wyglądali przez okno, za którym leżało smutne i niemrawe miasto.

— Wściec się można z upału — powiedziała dziewczyna. Otworzyła torebkę i wyjąwszy szminkę, przyprawiała sobie wargi. Powiedziała: — Ohydne miasteczko! I pomyśl, że tu mieszka arcybiskup!

— Drogi są złe, jak wszędzie w tym kraju — rzekł z namysłem major. — Powinni zbudować inną sieć, zwłaszcza koło Pirenejów. Znowu będziemy musieli płacić.

Knajpiarz Bernardo przyniósł z piwnicy wino w dzbanku i postawił między kochankami. Powiedział do dziewczyny.

— Madame, gdy zobaczyłem panią! Pani jest żywym odbiciem mojej ukochanej Soledad. Niestety, ona — westchnął i nalał z dzbana wino do szklanek.

Młody major roześmiał się i poklepał knajpiarza Bernardo po tłustych plecach.

— Mam piękny i chłodny pokój, okna wychodzą na ogród — powiedział knajpiarz Bernardo. — Myślałem, że będzie naszym gniazdem. Westchnął znowu i oddalił się do kuchni.

— Co on mówił? — zapytała dziewczyna, która nie znała hiszpańskiego.

— Proponował nam pokój. Był bardzo wzruszony — odpowiedział major.

Najpierw pójdziemy zwiedzać miasto, skoro już tu jesteśmy — rzekła energicznie dziewczyna. — Wyroby lniane, stolica arcybiskupa, katedra, w katedrze grób Apostoła Jakuba Młodszego.

— Starszego — powiedział łagodnie major.

Dziewczyna uśmiechnęła się i popatrzyła na niego z miłością:

— Przepraszam cię. Oczywiście, Starszego — powiedziała potulnie.

Knajpiarz Bernardo wrócił z kuchni i powiedział do kochanków: — Obiad będzie za chwilę. Państwo wybaczą, ale życie u nas się wolno toczy. Rośniemy przy zapomnianej ścieżce.

— Pamiętają o was! — rzekł wspaniałomyślnie major i gestem zaprosił go do stolika. — Czy zawsze u was było tak senne.

— Przeklęte miasto! — rzekł z gniewem knajpiarz Bernardo. Ulicą snuł się leniwie tłum, mułowaty wózek, czarny pies bawił się szmatą w rynsztoku, dwaj malcy w mundurach przebiegli z tupotem pod oknami, środkiem jezdni wlekli się robotnicy z łopatami.

— Przeklęte miasto! — powtórzył knajpiarz. — W dzień powszedni mamy upał i głód, w niedzielę walki byków i nabożeństwo w katedrze. Ale dawniej! Samego wina sprzedawałem za dziesięć tysięcy peset. Złoto płynęło z kamienia. Święty Jakubie, Patronie Gospody, wróć nam te czasy!

Knajpiarz Bernardo opamiętał się i powiedział do majora:

— Pan wie, ona umarła przez te kamienie.

— Co on znowu mówi? — zainteresowała się dziewczyna, która nie znała hiszpańskiego.

— Jego narzeczona zginęła podczas wojny — przetłumaczył major. — Potem mówił o kamieniach.

— O jakich kamieniach? — zapytała niecierpliwie dziewczyna. — Spytaj go, czy da nam obiad.

— Co z tymi kamieniami? — spytał major — Kopalnie?

Knajpiarz Bernardo rozsiadł się wygodniej i przysunął twarz do twarzy majora:

— Wolfram, proszę pana, wolfram, z którego robią armaty. — Major skrzywił się z niesmakiem, lecz knajpiarz Bernardo zmył swe prostactwo potokiem słów:

— Kiedy była wojna, zakochałem się w córce burmistrza z Tuy. Byłem wtedy smukły, opalony i miałem piękne włosy. Golę się teraz do skóry, dla pokuty.

— On mówi, że nie jest łysy, że się goli dla pokuty — przetłumaczył młody major kochance. Kochanka roześmiała się i pogładziła knajpiarza Bernardo po włochatej dłoni.

— Chodziliśmy razem na długie przechadzki w góry, nocne drzewa stały pod niebem ciemne i milczące, gwiazdy patrzyły na nas jak oczy aniołów.

Pociągnął ze szklanki wina i mówił dalej:

— Niedaleko Tuy przebiega granica z Portugalią. Gwardia pilnuje granicy, niektóre wioski przedzieliła drutem kolczastym. Po jednej stronie został kościół, po drugiej karczma. Ludzie nie zważali na granicę, z Hiszpanii chodzili do Portugalii, aby się pomodlić, z Portugalii do Hiszpanii, aby się napić wina.

Ale przez ten kamień granicę zamknęli zupełnie. Przyjechali do nas Anglicy i Niemcy, inżynierowie, bankierzy, agenci, górnicy, artyści — wszyscy szukali wolframu. Budowali kopalnie, sprowadzali robotników, płacili złotem, modlili się w katedrze, pili u mnie wino. Dobrze nam było. Nie wiedzieliśmy że wolfram to ten kamień, z którego chłopi budują u nas chałupy.

— Co on znowu mówi? — zapytała dziewczyna, marszcząc brwi. Ale nie potrafiła nic zrozumieć. Gdy młody major wiernie przełożył jej słowa knajpiarza Bernardo, powiedziała:

— Powinno się to wszystko wykupić. Przecież oni marnują surowiec strategiczny.

— Na razie nie ma potrzeby! — rzekł z lekceważeniem major. — Niech się sami w nim grzebią.

— Panowie budowali fabryki, a myśmy, biedni ludzie, łamali kamienie rękoma. Chłopi zbierali kamień na polach i sprzedawali agentom, którzy kupowali całe domy i wsie; mury kościelne, drogi bite i schody na zboczach. Kiedy już wszystko zabrali, dostawaliśmy wolfram z Portugalii. Ludzie stawali przed sklepami i rzucali pieniądze na tamtą stronę. Krewni z Portugalii przerzucali nam bryły wolframu. I właśnie wtedy Soledad umarła. — Zastrzelono ją? — zapytała dziewczyna, której przetłumaczono opowiadanie knajpiarza.

— Nie! — odrzekł z westchnieniem knajpiarz. Dostała w głowę kawałem granitu, wokół którego owinięto pieniądze. Umarła na miejscu, nie wyrzekłszy ani słowa. Bogaciłem się na winie, chciałem jeszcze złota z kamieni.

Popatrzył na swe owłosione ręce i tępo rzekł:

— Przeklęte ręce.

Rozmowny knajpiarz umilkł, wstał od stołu i powlókł się do kuchni. Wygnał z niej tęgą służącą, która postawiła przed kochankami dymiący obiad.

— Nudne miasto — powiedział major. — Pojedziemy dalej, jak myślisz?

— Obiecał nam pokój na noc — odparła rzeczowo dziewczyna. — Muszę zobaczyć grób Apostoła Jakuba Młodszego.

— Starszego — rzekł łagodnie major.

Dziewczyna uśmiechnęła się i popatrzyła na niego z miłością: — Przepraszam cię. Oczywiście, Starszego — powiedziała potulnie.

Zjedli obiad, zamówili u knajpiarza nocleg, dali suty napiwek dziewczynie i odjechali samochodem do katedry. Przy grobie Apostoła Amerykanka uklękła i z przejęciem zmówiła pacierz za nieszczęsną kochankę pana Bernardo; młody major mocował się z troskami, jakich przysparzała mu angielska Berald Tin and Wolfram Company, operująca w tej okolicy. Po zwiedzeniu katedry wsiedli do samochodu i obejrzawszy tereny starych kopalń, znowu zajechali przed Gospodę Apostolską". Orzeźwili się szklanką wina i nim słońce zaszło, mknęli się w pokoju gościnnym, który miał być gniazdem miłości smukłego Bernardo i pięknej Soledad, córki burmistrza z Tuy.

Tadeusz Borowski

Opowiadania wyjęte z tomu, który niebawem ukaże się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

DO LI-TAJ-PE

Na gorzkiej twojej twarzy, poeto zamierzchły,
Widzę rzek chińskich wylew
I ptaki zim wojennych i złe wilcze zmierzchy,
Całe w śniegowym pyle.

Twe rzeki głucho warczą, ptaki z drzew spadają,
Żelazem dzwonią mrozy,
Zmierzchy wśród obnażonych gałęzi śmigają,
Zimy skrzypią jak wozy.

Słyszę twój głos, wysoki przewodniku chóru.
W surowym jego pięknie
Znajduję wielkość trwalszą od Wielkiego Muru,
Bo nie ma na nim pęknięć.

Gdy twoją pieśń zanuci Chinka — pieśń jest kwiatem
I szeptem czułych zwierzeń,
Gdy żołnierz ją zaśpiewa na koniu kudłatym,
Twoja pieśń jest żołnierzem.

Twój lud który hoduje piękne jedwabniki,
Który ryżowe pola
I wzgórza, tak podobne do bawołów dzikich,
Krwią i cierpieniem polał,

Kochał cię w dniach pożółkłych od głodowej klęski
Złorzeczący męczeństwu —
I dziś cię będzie kochał, wolny i zwycięski,
Jak ptak — ukośny cień swój.

GEORGE CHANDES BIDWELL

Rozwój i upadek prasy brytyjskiej

3)

W latach czterdziestych pod kierownictwem Delane'a „Times" tak dalece przewyższył wszystkie konkurujące dzienniki, że nakład jego wynosił w 1854 roku 55 tysięcy w porównaniu z 6 i pół tysiącami najbliższego rywala.

Nierozdzielnie złączone z nazwiskiem Delane'a jest nazwisko jego słynnego korespondenta wojennego, Sir Williama Russella. Russell odegrał ważną rolę w zdemaskowaniu braków i nędzy, na które narażone były oddziały żołnierzy brytyjskich w czasie wojny krymskiej z powodu niedbalstwa i niedołęstwa władz. Wystąpił w obronie prostego żołnierza, jako ofiary jednej z największych tragedyj nieudolnej administracji wojskowej i obalił jeden rząd, wywołał poważne zmiany w drugim i spowodował usunięcie naczelnego wodza. Russel powrócił do kraju w aureoli sławy, jak żaden jeszcze dziennikarz przed nim.

Po roku 1846 wiele nowych dzienników powstało, włącznie z Daily News pod redakcją Dickensa.

Nowoczesne dziennikarstwo datuje się od narodzin periodyków „Tit-Bits", pod redakcją George'a Newnes, późniejszego Lorda Northcliffe. Powszechnym zwyczajem jest opiewać Northcliffe'a jako boga nowoczesnego dziennikarstwa. Jeśli tak, oświadczam, że jestem dziennikarskim ateistą. Northcliffe nie był niczym innym, jak handlarzem o duszy wrzaskliwego, jarmarcznego przekupnia. Publiczność kupowała jego zachwalane patentowane lekarstwa, ale nie była na tyle naiwna, ażeby pozwolić mu się nimi leczyć. Jego gazety poszły do milionów domów, głosząc swoje sensacje o zbrodniach i występkach. Lecz kiedy oświadczył, że właściciele dzienników mogą „nakazać całemu krajowi myśleć jak chcą" jego czytelnicy wyśmieli go i dowiedli jego ograniczonych możliwości. Wielka kampania, prowadzona przez syna Lorda Northcliffe'a, Rothermere'a, i Lorda Beaverbrooka o utworzeniu nowej partii — Zjednoczonej Partii Imperialnej — spełzła na niczym, a w roku 1945 zwycięstwo Labour Party nastąpiło wbrew najpotężniejszym dziennikom, popierającym Churchilla.

W ciągu swego życia Northcliffe zakupił około 70 gazet, od „Timesa" poczynając, aż po „Home hat" i „Comic Cuts".

„Jeśli pies ugryzie człowieka, to nie jest żadna wiadomość" mawiał Northcliffe do swoich adeptów dziennikarskich — „Jak człowiek ugryzie psa, to będzie nowina!" Bardzo to zręczne i sprytne, ale dowodzi zamiarów przekształcenia potęgi drukowanego słowa: ilustruje bezwstydny apel Northcliffe'a do sensacjonalizmu.

Jego pierwszy sukces, pismo „Answers" założone w roku 1888 powstało początkowo jako odpowiedzi na nadsyłane listy z pytaniami, ale ponieważ nikt o nic nie pytał, pismo musiało zmienić swój charakter i przekształciło się w niezłą imitację swego rywala „Tit-Bits", podając krótkie, błyskotliwe informacje na najróżniejsze tematy, w sposób obliczony na przyciągnięcie tych milionów czytelników, które jako rezultat świeżo wprowadzonej reformy szkolnictwa, po raz pierwszy uczyły się interesować szerokim światem poza rodzinną wioską. Wkrótce gazetka rozchodziła się w milionie egzemplarzy tygodniowo i dawała dochód 50.000 funtów szterlingów rocznie.

W roku 1894 Harmsworth zakupił i pobudził do nowego życia Evening News a w roku 1896, z chwilą triumfalnych narodzin pół-pensowego „Daily Mail" — rozpoczęła się nowa era w dziennikarstwie. Gazety Harmswortha wyznaczały nagrody za utrzymanie ogrodów i mieszkań; finansowały odkrycia; zachęcały do motoryzacji i prób lotnictwa, a cała ta działalność nie była spowodowana poglądami Northcliffe'a na dobro i użyteczność, lecz wyłącznie obliczona na zwiększenie zysku.

W roku 1907 przyszły ciężkie czasy na „Timesa" i Izba Handlowa zarządziła jego sprzedaż, wraz ze wszystkimi prasami drukarskimi i całym urządzeniem. Rozmaite wysiłki czyniono, aby zawładnąć potężnym dziennikiem. Negocjacje okrywała wielka tajemnica; w początkach 1908 można było zaobserwować pewien samochód w zaułkach Hampstead i dwóch ludzi wysiadających, a potem przechadzających się i rozmawiających jak konspiratorzy. Ci dwaj, to byli dyrektor „Timesa" oraz Alfred Harmsworth, świeżo upieczony Lord Northcliffe. Wkrótce lord Northcliffe wpłacił 320.000 funtów szterlingów do Banku Anglii. Jeden z redaktorów Northcliffe'a pisał zupełnie na serio, że Lord Burnham, właściciel „Daily Telgraph" był zaproszony na śniadanie przez Lorda Balfoura, ówczesnego premiera, natomiast Northcliffe, jako właściciel tylko „Daily Mail" nie był uważany za dość poważną osobistość, aby usprawiedliwić takie zaproszenie. Niektórzy uważają, że Northcliffe uratował „Timesa" — i niewątpliwie uratował go od wygaśnięcia — inni są zdania, że go zrujnował. Ale cokolwiek uczynił dla „Timesa" nie ulega wątpliwości, że pieczęć, którą pozostawił na prasie brytyjskiej, jest pieczęcią trądu.

Ażeby zakończyć sprawę „Timesa" należy powiedzieć, że po śmierci Northcliffe'a w roku 1922, kontrolę dziennika nabył płk. J. J. Astor, po czym ułożono na podstawie umowy trustowej komitet pięciu — włącznie z Najwyższym Sędzią, Rektorem Kolegium Wszystkich Świętych w Oksfordzie i Prezesem Banku Anglii — który miał zabezpieczyć „Times", ażeby nie popadł w nieodpowiednie ręce. Można zapytać, jakie to są „nieodpowiednie ręce" i od kiedy Najwyższy Sędzia i Prezes Banku Anglii są wyroczniami orzekającymi zasady demokracji i wolę ludu, których głoszenie usprawiedliwia egzystencję dziennikarstwa.

Większość zła, istniejącego w dzisiejszej prasie angielskiej, bierze swój początek od Northcliffe'a. Nie należy przez to rozumieć, że Northcliffe'owi nie zdarzyło się nigdy bronić słusznej sprawy lub wystąpić w obronie ludu. Lecz kiedy to robił powodem była zawsze dostrzeżona przez niego okazja zysku.

Northcliffe wierzył, jak dziś wierzy wielu jego następców, wielkich właścicieli gazet, że ludzie otrzymują taką prasę, na jaką zasługują. Bardzo to przyjemna i wygodna wiara dla właściciela dziennika, i niezmienny slogan tych, którzy prasę traktują wyłącznie z punktu widzenia przedsiębiorstwa handlowego. W rzeczywistości, dzieje prasy brytyjskiej od roku 1835 to historia przejścia od literatury do handlu.

Kingsley Martin, redaktor „New Statesman and Nation" w swojej książce „Prasa jakiej pragnie publiczność" podaje dwa przykłady zmiany poczucia odpowiedzialności wśród dziennikarzy, jako skutek Northcliffe'owskiego „nowoczesnego dziennikarstwa".

Gdy Ludwik Napoleon kreował się cesarzem Francji po zamachu stanu z roku 1851, „Times", w owym czasie pod kierownictwem Delane'a, szczególnie zjadliwie krytykował nowego cesarza. Minister spraw zagranicznych napisał

(Dokończenie na stronie szóstej)

W poprzednim 30 (243) numerze „Odrodzenia": Mieczysław Jastrun otrzymał nagrodę „Odrodzenia". — **Jerzy Kowalewski:** Pięciolecie-epoka. — **Zofia Dąbkowska:** „Mickiewicz" Mieczysława Jastruna. — **Władysław Broniewski:** Być określeniem świadomości; Moja biblioteka. — **Tadeusz Urgacz:** Nad manifestem; **Kazimierz Koźniewski:** „Spacerkiem przez Poniatowszczaka" — Głos mędrców; **Józef Sigalin:** Trasa WZ; **Jan Knothe:** Kilka uwag o projekcie Trasy WZ; **Zygmunt Stępiński:** Sprawa puścizny kulturalnej i historycznej. — **Leopold Lewin:** Manifest warszawski. — **Stanisław Dzikowski:** Wiślica nad Rzym. — Wycinanki łowickie na kartkach pocztowych. — **Stanisław Szenic:** Pancramy starej Warszawy. — Korespondencja: **H Rald:** „Krytyka literacka wśród mas". — 22 ilustracje. — 8 stron.

MARIAN BRANDYS

WŁOCHY Z BLISKA

RODZINA C

Znalezienie w Rzymie „przyzwoitego i niekrępującego pokoju „przy rodzinie" — nie jest dla cudzoziemca sprawą łatwą. Dlatego też musiałem zmieniać pomieszczenia kilka razy — zanim osiadłem wreszcie na czas dłuższy w spokojnej przystani sublokatorskiej klitki, podnajmowanej od wdowy po rzymskim fabrykancie makaronu C. — w starym ciemnym domu przy Placu Hiszpańskim.

Pokój przy Placu Hiszpańskim jest z pewnością ciemniejszy, brzydszy i brudniejszy od wielu innych rzymskich pokojów sublokatorskich w tej samej cenie. Ale ma jedną wielką zaletę — przynajmniej dla mnie. Jest „pokojem przy rodzinie" w pełnym znaczeniu tego określenia i daje doskonały wgląd we wszystkie sprawy życiowe rodziny C., która jest tak typowo reprezentacyjna dla swego gatunku, że poznanie jej codziennych trosk i radości wprowadza jednocześnie w ogólną sytuację życiową całego podupadającego średniego mieszczaństwa włoskiego.

Znajomość z rodziną C. rozpocząć należy od opisu domu, w którym mieszka. Dom przy Placu Hiszpańskim, położony w odległości zaledwie kilkudziesięciu kroków od wspaniałych jak teatralna dekoracja schodów kościoła Trinita dei Monti i od domu, w którym mieszkali: Shelley i Keats — jest, podobnie jak większość budynków w tej okolicy, domem o historycznej przeszłości. Przed osiemdziesięciu laty mieszkał tu francuski poeta Alfons Lamartine. W kilkanaście lat później wielki liryk włoski Carducci pisał tu rzekomo swoje „Ody barbarzyńskie". A wreszcie w zupełnie już niedawnej przeszłości, bo przed laty trzydziestu, w tym właśnie pokoju, który zgodziła się mi odstąpić pani C., malował swoje obrazy najwybitniejszy ongiś malarz włoskiej awangardy Chirico. Czas, który upłynął od dni historycznej świetności, przygasił nieco sławę Lamartina i Carducciego, a awangardystę Chirico zamienił w starego kabotyna, podpisującego swoje pornograficzne autoportrety słowami „pittore ottimo" (najlepszy z malarzy). W ciągu tych kilkudziesięciu lat dom, który jak większość domów w centrum Rzymu, nie był zapewne nigdy piękny ani wygodny, — stał się chydną i ponurą ruderą rzymską, o mrocznej klatce schodowej, zapraszającej do samobójstwa i o odstręczających mieszkaniach, które dzięki kamiennym ścianom i posadzkom, zimą mogą konkurować z najnowocześniejszą lodownią — latem zaś zmieniają się w rozżarzony przedsionek piekła. Jedyną osobą, dla której czas w niczym nie potrafił umniejszyć świetnej tradycji domu — jest sama pani C. Kierując się tak powszechnym wśród mieszczaństwa włoskiego kultem dla sławnej przeszłości — nie zapomina ona nigdy o wkalkulowaniu skromnego „dodatku historycznego" w każdą opłatę swego półoficjalnego pensjonatu.

Osobnym powodem dumy pani C., a ciągłego utrapienia jej lokatorów jest sąsiedztwo najelegantszej i najhałaśliwszej uczelni rzymskiej — Gimnazjum św. Józefa. Szkoła jest prowadzona przez duchownych (zdaje się, że przez jezuitów) — a przyczyną jej hałaśliwości jest prosty fakt, że wszyscy uczniowie przybywają do gimnazjum własnymi samochodami. Każdego dnia w południe lewa część Placu Hiszpańskiego zamienia się w wielki park samochodowy. Przy akompaniamencie szumu motorów, trąbienia syren i dzikiego wrzasku pupilów, guwernantki, guwernerzy i „nurse'y" wyłuskują swych paniczyków z lśniących limuzyn i przekazują tłustemu rumianemu księżulkowi, który od drzwi uczelni błogosławi temu szumnego i bogatemu widowisku najpromienniejszym z uśmiechów. Postronnymi widzami całej ceremonii są brudne i obdarte dzieci ulicy rzymskiej, które wystają godzinami wokoło lśniących samochodów, mimowoli i bezwiednie przechodząc tu praktyczną zaprawę do studiów marksistowskich. Wiele razy obserwowałem ciekawe widowisko przed Gimnazjum św. Józefa, ale raz tylko zdołałem zauważyć jak promienny uśmiech — błogosławieństwo, zdobiący nieodmiennie okrągłą twarz odźwiernego „prefekta wśród bogaczy" ustąpił na chwilę miejsca uczuciu nieopanowanego gniewu. Stało się to wówczas gdy jeden z małych uczniaków wystrzałem z procy rozbił lustrzaną szybę wielkiej limuzyny. Zażywny księżulo ze swego punktu obserwacyjnego dojrzał zbrodnię wcześniej od zainteresowanego szofera — i on pierwszy — podkasawszy sutannę — rzucił się w pogoń za małoletnim przestępcą.

Ale powróćmy do rodziny C. Ojciec rodziny C., fabrykant makaronu zmarł przed kilkunastu laty, przekazując spadkobiercom udział w marnie prosperującej fabryczce, mieszczańsko-szlachecki tytuł faszystowski „cavaliere" oraz niewiarę w lepszą przyszłość Włoch.

Po śmierci męża na czele klanu, złożonego z siedmiorga nieletnich dzieci — stanęła p. C. O jej twardej i energicznej walce z przeciwnościami życiowymi dowiaduje się każdy pensjonariusz przy pierwszym obiedzie lub kolacji.

— Siedmioro drobiazgu na karku. Zdaje pan sobie z tego sprawę, signore?

Fabryka szła coraz gorzej. Wspólnik był oszustem. Tzeba było w prywatnym mieszkaniu otworzyć pensjonat. Ciekawe, co by powiedział na to zmarły cavaliere? Z pewnością by się w grobie przewrócił. Oczywiście, że pensjonat nie jest zupełnie oficjalny. Bo któżby sobie przy dzisiejszych podatkach i opłatach skarbowych mógł pozwolić na utrzymywanie oficjalnego pensjonatu? Na szczęście miejscowy „brigadiere" nie jest formalistą. Zresztą i on musi z czegoś żyć. Z pensji urzędniczej wyżyć przecież nie podobna. Pan już się orientuje chyba w naszych stosunkach, signore?

Rzymskie dzieci ulicy

Z siedmiorga dzieci umarło dwoje: jedno oddano opiece Madonny Neapolitańskiej, drugie — Madonny z Loreto. Te dwie Madonny, które pani C. traktuje jako dwie odrębne osoby fizyczne, zawiodły jej zaufanie. Dlatego też ukarała je i od tamtego czasu modli się tylko do Czarnej Panny z Farnese. Stosunek pani C. do rozlicznych świętych jest taki sam jak do Madon. Traktuje ich jako funkcjonariuszy nieba, z których szacownych usług i opieki korzysta chętnie w najdrobniejszych sprawach, ale od których wymaga urzędniczej lojalności. Jeżeli święty Umberto biskup zawiedzie przy grze w „totocalcio" — to koniec z modlitwami do świętego Umberto, biskupa. Jeżeli św. Franciszek Ksawery nie uchroni od kary za ukrywanie dochodu, to nie ma dla św. Franciszka Ksawerego miejsca w domu rodziny C. „I tak oto dzięki łaskawej opiece świętych pozostałe pięcioro dzieci wychowałam dobrze na ludzi" — kończy tryumfalnie pani C. i czułym spojrzeniem — tak niezwykłym u tej surowej matki — głaszcze swoje pięć pociech. Pociechy ziewają. Ostatecznie mają do tego prawo. Opowiadanie słyszały już kilkaset razy. A ponad to nie są przecież wcale „dobrze wychowane".

Na młodsze pokolenie C. składają się trzej synowie i dwie córki. Najstarszy syn Umberto — nazwany tak nie dla świętego biskupa od „totocalcio" lecz na cześć ówczesnego następcy tronu włoskiego — niedawno ukończył medycynę. Nie jest on medykiem z powołania a na studia wstąpił tylko dlatego, że w 1943 roku medycyna była najpewniejszą ochroną przed wojskiem. Obecnie od szeregu miesięcy Umberto jest jednym z wielu bezrobotnych młodych lekarzy włoskich, je i mieszka na koszt matki, której ostre i niesprawiedliwe docinki znosi z uroczą rezygnacją, a dwa razy w tygodniu chodzi do kina na koszt swej równie głupiutkiej jak ślicznej „fidanzaty" (narzeczonej) — Caramelli.

Wiecznie podrażniony i niezadowolony z siebie i innych jest średni syn Carlo. W wyniku przeżyć wojennych ma on nerwowy lęk przed wojną. W czasie wojny, po kapitulacji Włoch, spędził kilka miesięcy w niemieckim obozie jeńców i jak można wnosić z jego mrukliwych relacji nie było mu tam wcale słodko. Carlo jest malarzem. On pierwszy zapytał mnie o nową Polskę i nie czekając odpowiedzi przeszedł do ataku: — „U was malarzom nie pozwalają malować". Carlo jest fanatycznym zwolennikiem absolutnej niezależności artysty. Korzysta też z niej w pełni malując niezrozumiałe łamigłówki surrealistyczne. Ponieważ jednak nie marzy nawet, aby na te obrazy znalazł się nabywca, a żyć trzeba — więc Carlo zarabia na życie jako „murzyn" przy rysowniku „kryminalnego" tygodnika dla młodzieży powielając potworne rysunki do powieści obrazkowych, płatne po 40 lirów od sztuki i podpisywane nie jego nazwiskiem.

Ulubieńcem matki jest najmłodszy — Gennaro. Jest to młodzieniec prawdziwie i po włosku piękny, a ponadto obdarzony urzekającym wdziękiem. Gennaro korzysta w domu rodzinnym ze szczególnych uchłopców z Rzymu i z Neapolu. Raz w roku na wiosnę wyjeżdża na miesiąc lub dwa na Capri, gdzie mieszkają stare milionerki amerykańskie spragnione miłości młodych chłopców włoskich. Z Capri wraca z pokaźnym kapitałem i przez resztę roku handluje walutami na Placu Colonna.

Córki są dwie: dwudziestotrzyletnia mężatka — smukła, przygaszona Andrea i śmietankowo-poziomkowa bujna siedemnastolatka Sylvia.

Biedna Andrea jest ofiarą męża i matki. Mąż — dość znany dziennikarz faszystowski — porzucił ją przed trzema laty i uciekł do Argentyny, a matka z tego powodu i z innych bezlitośnie zatruwa jej życie. Zdaniem pani C. wszystkie nieszczęścia życiowe Andrei pochodzą z nadmiaru wykształcenia. Pomysł wysłania Andrei na pensję był ostatnim szlacheckim wybrykiem zmarłego cavaliere, którego wdowa do dzisiaj nie może mu przebaczyć.

— Kobieta powinna pracować w domu, a nie uczyć się — powtarza niezmiennie ta rzymska pani Dulska. — Ja nie uczyłam się, a wychowałam na ludzi pięcioro dzieci, Sylvia także nie przesadza w nauce a z pewnością będzie dobrą żoną i matką.

Siedemnastoletnia Sylvia rzeczywiście nie przesadza w nauce. Innymi słowy jest niemal zupełną ignorantką, zaledwie umiejącą czytać i piszącą ze straszliwymi błędami ortograficznymi. Swiat jej przeżyć zamyka się bez reszty w granicach ciemnego, wilgotnego i brzydkiego mieszkania przy Placu Hiszpańskim. O szóstej rano wprost z łóżka biegnie do pobliskiego sklepiku po mleko. Potem przygotowuje śniadanie dla sublokatorów i wylegujących się w łóżku braci, sprząta wraz z matką ośmiopokojowe mieszkanie i resztę przedpołudnia spędza w ciasnej zadymionej kuchni przy przygotowywaniu obiadu. Po obiedzie i po załatwieniu niezliczonej ilości drobnych czynności gospodarskch następuje wreszcie dla Sylwii pora wytchnienia. Wtedy matka z młodszą córką zasiadają przy wielkim stole w mrocznej jadalni —najchętniej w towarzystwie jednego lub dwóch sublokatorów (pani C. przyjmuje na sublokatorów tylko mężczyzn, gdyż z kobietami jest zbyt wiele kłopotu) — i poświęcają dwie lub trzy godzinki do kolacji na miłe „wczasy kulturalne". Starsza córka — przygaszona Andrea nie bierze udziału ani w zajęciach gospodarskich, ani w rozrywkach kulturalnych rodziny. Ta dwudziestotrzyletnia i bardzo ładna, ale wiecznie zaniedbana i niechlujnie wyglądająca kobieta cały swój czas poświęca niańczeniu dwojga rozkapryszonych dzieci.

„Wczasy kulturalne" rodziny C. wypełniają w większej części opowiadania pani domu o cudownych grotach i ukazujących się Madonnach. Pani C. zna tych opowiadań krocie i sypie nimi jak z rękawa. Sama została „nawiedzona" trzy razy; z tych dwa po śmierci dzieci i raz w cudownej grocie w rodzinnym Farnese. Siedemnastoletnia Sylwia chłonie te klechdy, tchnące najciemniejszym zabobonem, jak powietrze, a cudzoziemscy sublokatorzy z uprzejmości nie podają ich w wątpliwość. Gorzej, gdy przy rozmowie jest któryś ze starszych synów: „dottore" lub „professore" (tym drugim tytułem posługuje się malarz Carlo). Synowie nie wierzą w cudowne groty z ukazującymi się Madonnami i w dość brutalny sposób piętnują ciemnotę matki. Kończy się to przeważnie wrzaskliwą awanturą i wyrzuceniem jednego z młodych racjonalistów na kilka dni z domu. Pozostała na placu boju, pani C. zwraca się wówczas do mnie z żądaniem, abym pojechał do cudownej groty w Farnese i osobiście przekonał się o pełnej prawdzie jej słów. Przyrzekam, że pojadę tam latem.

Obok opowiadań pani C., przedwieczorne godziny poświęcone są głównie omawianiu ostatnich filmów amerykańskich i głośnej lekturze pisma „Grand-Hotel" — w dość mozolnym wykonaniu Sylwii. Na treść tygodnika „Grand-Hotel"— składają się wyłącznie plugawe sensacyjno-pornograficzne „utwory literackie z życia wyższych sfer towarzyskich". Pismo to posiada nakład przewyższający łączny nakład wszystkich pozostałych czasopism włoskich i stanowi ulubioną — jeżeli nie jedyną — lekturę dorastających dziewcząt z mieszczaństwa włoskiego.

W domu państwa C.—poza „Grand-Hotelem" i „Osservatore Romano" (tylko w niedzielę) nie czyta się niczego więcej. Kiedy raz poprosiłem o jakąś książkę — przyniesiono mi po długim szukaniu wytarty egzemplarz „Narzeczonych" Manzoniego, wydany w roku 1872 — a więc jeszcze za życia autora. Było to jedyne dzieło literackie, jakie w ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat przeniknęło do ponurego domu przy Placu Hiszpańskim.

Po kolacji córka domu przystępuje do słania łóżek w pokojach sublokatorskich. Sprowadza się to do prostego ceremoniału odchylenia prawego rogu kapy, którą jest pokryte stale gotowe do spania łóżko włoskie. Mimo to pani C. żadne perswazje nie zdołają skłonić do obciążenia tą prostą czynnością samych sublokatorów. Tym więcej, że pani C. wierzy niezłomnie, iż w jednym z pokojów sublokatorskich Sylwia znajdzie sobie męża.

Pani C. jest gorącą zwolenniczką małżeństwa. Trudno jej przeboleć, że najstarszy Umberto już od dwóch lat trwa w stosunku narzeczeństwa z uroczą Caramellą. Stara się to przede mną usprawiedliwić, jak może. — „Trudne czasy, signore. Do małżeństwa trzeba dzisiaj mieć milion lirów. A kto może sobie pozwolić na milion lirów?". Ponieważ młodzi nie mogą sobie pozwolić na małżeństwo — więc stara czuwa, aby nie pozwalali sobie na nic innego. W czasie odwiedzin Caramelli nie pozostawia ich ani na chwilę samych i bezustannie ma ich na oku. Kiedy raz przy Placu Hiszpańskim odbywa się zabawa, która ma się skończyć bardzo późno — młody „dottore" ściąga na swą głowę burzę pytaniem: czy narzeczona nie mogłaby przenocować po zabawie w ich domu — oczywiście w pokoju matki i w jej towarzystwie? Pytanie to wprawia rzymską matronę w święte oburzenie. — Nie, nie chcę nawet słyszeć o tym, aby narzeczona i narzeczony spali w jednym mieszkaniu. Nie zgodzi się nigdy na „tolerowanie niemoralności pod swoim dachem". Oświadczenie to bardzo mnie uspokaja. Wynika z niego bowiem, że plotki sklepikarza z via Croce — jakoby pani C. przed południem odnajmowała pokoje sublokatorskie na godziny przygodnym parkom — są z gruntu fałszywe.

Kobiety z południowych Włoch

W wyniku tej rozmowy, biedny Umberto o godzinie trzeciej w nocy odprowadza swą Caramellę do domu jej rodziców na jednym z odległych przedmieść rzymskich. Spacer ten trwa bardzo długo gdyż po drodze młodzi zatrzymują się na pewien czas w ruinie rzymskiego Colosseum, która zawsze stoi gościnnie otwarta dla młodych i niecierpliwych kochanków. O tej „zemście" nad matką opowiada mi sam „dottore". Rycerską dyskrecję w sprawach intymnych uważa za zwykły przesąd.

Dwoma elementami które w powszedni dzień wszechwładnie dominują w atmosferze mieszkania przy Placu Hiszpańskim są: niechlujstwo i ciągły wrzask. Włosi żyją przez większą część dnia na ulicy, dlatego też mieszczaństwo włoskie w przeciwieństwie do zamiłowań tej klasy społecznej w innych krajach Europy — małą przywiązują wagę do wygód i estetyki życia domowego. Żadne z drzwi w mieszkaniu rodziny nie zamykają się, meble są poobtłukiwane, na stole leży nieodmiennie zaplamiona cerata, w kątach wiszą całe zwoje pajęczyn, szyby są powybijane, okien i podłóg nie dotyka nigdy ścierka. Kobiety z klanu C. przez cały boży dzień snują się po pokojach w niechlujnych, podartych szlafrokach i w przydeptanych pantoflach, potargane i często niemyte.

Inaczej męscy przedstawiciele rodu, którzy już przed południem wypływają na miasto. Ci długi czas przed wyjściem spędzają zamknięci w łazience równie zniszczonej i niechlujnej, jak reszta mieszkania. Trzeba stwierdzić jednak, że większość tego czasu poświęcają nie na mycie lecz na golenie i pudrowanie twarzy oraz namaszczanie gęstych czupryn specjalną oliwą do włosów. Ciemne ślady tej oliwy odnajduję często także na białym grzebieniu, który spoczywa na komodzie w moim pokoju. Nie jest dla mnie żadną tajemnicą, że już od miesiąca — w czasie mojej nieobecności — wszyscy męscy członkowie rodziny C.. czeszą się właśnie tym grzebieniem.

Mieszkanie przy placu Hiszpańskim od godziny 8-ej rano do godziny 10-ej wieczorem wypełnia bezustanny wrzask. Wrzeszczą dzieci, wrzeszczą młode kobiety i wrzeszczą młodzi mężczyźni. Lecz nade wszystko wrzeszczy sama pani C., która w ogóle uznaje tylko dwie najwyższe oktawy. W tych dwóch oktawach komunikuje pani C. najbliższemu światu wszystkie swoje troski i trudności. Każdy sublokator, choćby miał szczęście mieszkać w pokoju najbardziej oddalonym od kuchni, w której koncentruje się życie rodzinne gospodarzy — musi się dowiedzieć, że dwa razy w ciągu dnia wyłączono gaz, że nie można było dostać mięsa, że Carlo jest niewdzięcznym łotrem i przeklętym nierobem, a Andrea jadowitą żmiją, która niczego nie potrafi załatwić, że wreszcie panią C. odwiedził przekupny wspólnik półoficjalnego pensjonatu, ten brudny łajdak brigadiere i zażądał podwyższenia miesięcznej łapówki. Pani C. nadaje swoim wrzaskliwym żalom charakter religijno - polityczny. Przy każdej drobnostce odwołuje się do świętych. Przy każdej drobnostce gromi de Gasperiego. Togliatiego a nawet — przy całej swj religijności — papieża.

Ale w niedzielę wrzaskliwa i brudna treść powszedniego dnia mieszczańskiego przycicha i uświątecznia się. Od wczesnego ranka cała rodzina przygotowuje się do gromadnego wymarszu do kościoła. I spójrzcie co za zmiana. Pod wpływem mydła szczotki, szminek i odświętnego stroju stara zaniedbana wilczyca rzymska zmienia się w salonową lwicę. We wspaniałym płaszczu z czarnego aksamitu, z dwoma srebrnymi lisami na ramionach i w potrójnym naszyjniku z pereł, Pani C. wygląda jak prawdziwie godna matrona mieszczańska. Dwa kuchenne kopciuszki: Andrea i Sylvia, czysto wymyte w barwnych sukienkach stają się śliczne i powabne. Trójka młodych obwiesiów: „dottore", „pittore" i „gigolo"-waluciarz — elegancko ubrana i gładko wyczesana moim grzebieniem również nie przynosi wstydu rodzinie. Spójrzcie na nich kiedy zadowoleni z siebie, zamożnie wyglądający w harmonijnej zgodzie przemierzają Plac Hiszpański w blaskach rzymskiego słońca. Czyż nie jest to wzorowa rodzina mieszczańska u szczytu pomyślności? Wprost prosi się o fotografię familijną.

Ale bywają także dni, gdy gęste chmury zaciemniają słońce zaglądające do mieszkania na Placu Hiszpańskim. Staje się tak wtedy, gdy fala wydarzeń zewnętrznych — o których rodzina C. nie chce wiedzieć i które od siebie odpycha — podpływa tak blisko, że już się przed nią obronić nie można. Staje się tak wtedy, gdy mały gigolak i waluciarz Gennaro, który, jak się okazuje, jest także członkiem neofaszystowskiej M. S. I. i prowokatorem na usługach policji — zostaje postrzelony i wrzucony do Tybru. Dzieje się tak wtedy, gdy — w czasie ludowych manifestacji przeciwko Paktowi Atlantyckiemu — malarz Carlo wraca do domu blady, roztrzęsiony — i na środku ciemnej jadalni—przy wszystkich sześciu sublokatorach — wybucha atakiem histerii: „Ja mam już dosyć wojny. Ja sobie strzelę w łeb, jeżeli wybuchnie wojna". Wreszcie dzieje się tak wówczas, gdy nadchodzi wiadomość od wspólnika fabryki makaronu, że fabryczka musi ulec likwidacji, gdyż makaron importowany z Ameryki pokrywa całe zapotrzebowanie.

W takich wypadkach pani C. nie odwołuje się już do świętych i nie miota gróźb pod adresem eksponowanych osobistości. Nieszczęścia są już zbyt wielkie, aby dało się je zabić krzykiem. Energia jej załamuje się a z wielkich podmalowanych oczu na niechlujny szlafrok spływają czarne łzy.

Smutne są wtedy wieczory w mieszkaniu na Placu Hiszpańskim. Nie ma przy stole rozmów o cudownych grotach. Nie ma lektury pisma „Grand - Hotel". Pani domu pochlipuje, wcale nie wstydząc się sublokatorów, a sublokatorzy szybko połykają kolację, aby najprędzej się wymknąć z tej atmosfery smutku, nie budzącego ich współczucia.

Ale jednego z takich wieczorów zdarza się, że w atmosferze stężonego nieszczęścia wkraczają nieoczekiwanie tony skocznej piosenki. To oderwana od spraw rzeczywistości, Andrea kołysze w kuchni swego małego synka do snu popularną piosenką faszystowską.

Giovinezza, giovinezza
Primavera di bellezza,

Odgłos tych dobrze znanych tonów działa na zastygłą w smutku rodzinę C., jak przytknięcie pręta galwanizacyjnego. Pani C. z nieobeschłymi jeszcze łzami, poczyna wybijać palcami skoczny takt na poplamionej ceracie. Biało-różowa Sylvia przyłącza się do śpiewu siostry wdzięcznym sopranem.

Della vita nell'asprezza
Il tuo canto squilla e va.

Z ust Carla znika zwykły wyraz goryczy. Umberto obejmuje leniwie ramieniem siedzącą obok Caramellę i nikt na to nie zwraca uwagi. Na twarze wypełzają uśmiechy jakiegoś zadumanego, rozrzewnionego przypomnienia. Wszystko za sprawą starej piosenki faszystowskiej.

Ale nie myślcie, że rodzina C. składa się z samych faszystów. Nie, to nie są świadomi faszyści. Są to przeciętnie przyzwoici mieszczanie. Nie rozumieją otaczającej ich rzeczywistości i nigdy nie starali się jej zgłębić. Są niezadowoleni z teraźniejszości i nie wierzą w przyszłość. Dlatego nie dziwcie się że stara piosenka faszystowska przywołuje na ich wargi rozmarzony uśmiech tęsknoty. Wtedy było inaczej. Mąż Andrei pisywał w „Popolo d'Italia" piękne artykuły o nowym imperium rzymskim. Rozhisteryzowany Carlo nie wiedział jeszcze, że artykuły te oznaczają wojnę. W mieszkaniu nie snuli się sublokatorzy, a fabryczka makaronu przynosiła dochód.

Jest to tęsknota niebezpieczna: są tacy, którzy próbują ją wykorzystać.

Marian Brandys

PRZEMOWIENIA Z OKAZJI WRĘCZENIA NAGRODY LITERACKIEJ „ODRODZENIA"

Mieczysław Jastrun przyjmuje życzenia od Karola Kuryluka

Jarosław Iwaszkiewicz

Drogi Przyjacielu!

Wiesz już z listu osobistego, napisanego do ciebie zaraz po przeczytaniu twojej książki o Mickiewiczu, jakie jest moje prywatne zdanie o twoim wspaniałym dziele. Możesz więc sobie wyobrazić, jaką jest dla mnie radością, gdy teraz publicznie głos zabieram, aby już nie prywatnie, ale w imieniu całego jury mówić o tej książce, która tak słusznie uzyskała miano najlepszej prozaicznej pracy literackiej w ubiegłym, obfitym w cenne publikacje roku. Książka twoja wzbudziła nasz zachwyt przez wewnętrzną pasję, z jaką została napisana. Chociaż okolicznościowa, nic w sobie nie ma z rocznicowych publikacji — każde zdanie, każda jej karta świadczy o tym, że powstała ona z głębokiej potrzeby ducha, z wewnętrznego musu, który nie w roku jubileuszowym, ale chyba od wczesnej młodości skierował twoje zainteresowania i, co nie mniej ważne, miłość twoją ku gigantycznej postaci największego Polaka, poety, polityka i człowieka. W szczęśliwie wybranej formie — tak rzadkiej nie tylko u nas — jak gdyby potężnego essayu, dałeś nam owoc twoich studiów i twoich zamiłowań. Nie jest to ani modna ongi powieść biograficzna ani dzieło suchego filologa, ani dowolne haftowanie na tle życia i twórczości Mickiewicza, ale udokumentowane w każdym słowie opowiadanie o tym, czym jest dla ciebie i czym jest dla nas, czym był dla swojej epoki i czym jest dla czasów naszych autor „Pana Tadeusza". Przez myśl o nim i przez miłość dla niego trafiłeś do naszej myśli i do miłości wszystkich Polaków. Dałeś książkę przede wszystkim czytelną, dostępną dla wszystkich, a tym samym wprowadzającą postać, żywą postać nie gips nie brąz i nie marmur — Mickiewicza do najskromniejszych mieszkań, izb, pod dach słomiany chłopskich chat i pod sklepienia — oby tak było! — świetlic robotniczych.

Trzymając się formalnie określeń regulaminu nagrody „Odrodzenia" nagrodziliśmy cię za prozę, za piękną twoją prozę. Ale przecie jest to jednocześnie nagroda za poezję: określenie twej książki, które się ciśnie wszystkim na usta i które może najlepiej określa jej wartość, to jest powiedzenie: książka poety o poecie. I niewątpliwie w znacznej mierze wartość twego dzieła polega na tym, żeś swoją intuicją poety, który przecierpiał wiele, odczuł walki i upadki poety który cierpiał za miliony. Cierpiałeś z nami razem w czasach nocy okupacyjnej i czułeś, jak bije i cierpi serce całego narodu i w chwilach zwątpienia, otoczony kłamstwem i złem, myślałeś „że kłamał anioł płaczący w Jeruzalem i kłamał anioł lecący z Nazaret" i potrafiłeś wyzwolić się z mętów cierpienia i grozy, którymi oddychały twoje wiersze i razem z nami powiedzieć się odważyłeś:

„Gdy się po piętrach gruzów [wspinam
Na szczyt katedry obalonej.
Narodzin krzyk, nie śmierci /dzwony
Z przepaści słyszę".

W twórczości twojej zwyciężył „narodzin krzyk". I temu nowemu rodzącemu się społeczeństwu dałeś swą książkę o Mickiewiczu. Oddycha ona wiarą w zwycięstwo, optymizmem wielkich zmagań i wielkich dokonań i wreszcie miłością do literatury, przekonaniem że poezja jest walką i do zwycięstwa prowadzi. I pozwól mi tu na marginesową uwagę, chociaż w ostatnim twym pięknym artykule o humanizmie naszego czasu potępiasz, powołując się na Nowaczyńskiego, poetów dwudziestolecia, pozwolę sobie postawić hipotezę, iż wiarę w moc i siłę poezji zaczerpnąłeś z tej potępionej rzeki, u której piłeś w dobie twojej pierwszej młodości.

W twojej książce o Mickiewiczu widzimy znamienne przejścia od pesymizmu do optymizmu, zwycięstwo najlepszych pierwiastków twojej twórczości, akord doskonały, który bynajmniej nie jest kadencją końcową, ale — tak myślę — prowadzi do światlejszej, przejrzystszej i równie mam miłej, jak dawne — nowej epoki twojej twórczości. Niechże się ona rozwija dla chwały naszej literatury i naszego narodu — i bądź nam zdrów,

„Ty, który zwyciężyłeś i śmierć i [zagładę
Aby odnaleźć serce swoje, jak [wiersz wieczny".

Paweł Hertz

Drodzy Koledzy i Państwo!

Wręczenie tegorocznej nagrody „Odrodzenia" odbywa się w warunkach osobliwych, w księgarni na Rynku Mariensztackim, gdzie stoją nowowzniesione domy robotnicze, w dzielnicy naszego miasta, dźwigniętej rozumem i świadomą tego, co czyni ręką człowieka.

Nagrodzono w tym roku moim zdaniem nie tylko wybitną książkę i literacką zasługę świetnego pisarza, uczyniono więcej, opowiedziano się wyraźnie za ideą, której ta książka służy. Cóż to za idea? Myślę, że łatwo nam ją będzie zrozumieć, nam zebranym tu, zaledwie o kilka kroków od nowych ulic i madrze odtworzonych domów, w których zamieszkają lepsi i piękniejsi ludzie.

Książka Jastruna o Mickiewiczu służy postępowi, sprawiedliwości międzynarodowej solidarności przodujących klas społecznych — temu wszystkiemu, co składa się na pojęcie nowoczesnego humanizmu, tak niedłącznie, tak ściśle związanego z walką przeciw wszelkim nieracjonalistycznym ideologiom.

Jastrun wybrał postać Mickiewicza zapewne dlatego, że spośród wielkich pisarzy polskich, Mickiewicz właśnie w swoim życiu i twórczości jest może najpełniejszym, najdoskonalszym przykładem takiej walki zakończonej zwycięstwem nowocześnie pojętego humanizmu nad ideologiami wrogimi całym narodom i pojedynczym ludziom.

Mickiewicz łamał się długo z fałszywie pojętym patriotyzmem, z towiańszczyzną, z najbliższym otoczeniem przyjaciół, które chętnie nałożyłoby mu na skronie koronę „wieszcza katolickiego" i tak ukoronowanego zabalsamowało na wieki w Panteonie fałszywych świętości narodowych.

Jastrun pokazał nam może po raz pierwszy—Mickiewicza prawdziwego. Ani tego, którego nam wskazywali i wskazują nadal profesorowie literatury, uparcie czepiający się jego miłości do narodu i kraju, by ten szlachetny patrictyzm poety walczącego o to, by żyć w narodzie wolnym, ale i w świecie wolnym, zamienić w wodę na młyn nacjonalizmu. Ani tego, jakiego radzi by może widzieć ludzie zbyt gorliwi — spiżowego zastygłego, nie znającego wahań i klęsk. Jastrun postąpił tak, jak tylko może postąpić pisarz rozważny, który jasno zdaje sobie sprawę z dialektyki historii i dlatego właśnie nie lęka się mówienia prawdy i tylko prawdy. Pokazał nam Mickiewicza wśród klęsk i zwycięstw, Mickiewicza żywego, bliskiego naszemu walczącemu pokoleniu.

Wiele mówi się u nas o tradycji kultury narodowej. A niewiele metrów stąd możemy oglądać piękne dzieło robotników i architektów, którzy dobrze zrozumieli, czym jest naprawdę tradycja narodowa i potrafili połączyć nowe ze starym tak że nie ma w tym lękliwego kompromisu, ani fałszywego nowatorstwa.

Podobnie uczynił Jastrun. W jego książce została podjęta linia narodowej tradycji. Postać Mickiewicza - patrioty nie przesłania biografowi postaci Mickiewicza - internacjonalisty, upadek intelektualny i ideologiczny, jakim niewątpliwie był w życiu Mickiewicza mroczny okres towiańszczyzny nie zaciemnia wielkiego renesansu roku 1848. Ten ładunek prawdy, rozsądku, dialektyki, jaki tkwi w książce Jastruna pozwolił mi na określenie jej jako książki klasycznej.

Przemawia Karol Kuryluk. Od lewej: Jarosław Iwaszkiewicz, Mieczysław Jastrun, Zofia Nałkowska, Tadeusz Breza, Zofia Dembińska.

Po okresie mumifikacji, dokonanej przez profesorów, po sceptycznym rewelatorstwie Boya, które tak smakowało nam w latach przedwojennych, życie, twórczość i działalność Mickiewicza trwa znowu przed nami w ostrym, wszystko przenikającym blasku prawdy historycznej. Wydaje mi się rzeczą dość oczywistą, że dopiero czas rewolucji mógł wydać taką książkę. Rewolucja bowiem, której jesteśmy współtwórcami, świadkami, nie lęka się prawdy historycznej. Ona nią żyje. Pisarze, którzy tej rewolucji służą, tym się różnią od innych, że mogą patrzeć prawdzie prosto w twarz. Z tego spojrzenia jedynie godnego pisarza zrodziła się już dziś ta książka, którą słusznie nagrodzono, i dom, w którym mówię te słowa; jutro zaś zrodzi się miasto i kraj, i świat, w którym godność ludzka będzie człowiekowi przywrócona. **(Oklaski).**

Mieczysław Jastrun

Bardzo trudno mi wypowiedzieć te myśli i uczucia które owładnęły mną w tej tak dla mnie uroczystej, ale tak zarazem niebezpiecznej chwili. Na chwilę tę bowiem pada przecież blask znakomitych nazwisk, sławnych pisarzy i działaczy kultury, którzy przyznali mi zaszczytną nagrodę. Również na chwilę tę pada blask sztuki pisarskiej kontrkandydata do nagrody i mego serdecznego przyjaciela Adolfa Rudnickiego.

Tak wysokie wyróżnienie, nakłada na mnie, zdaję sobie sprawę z tego, obowiązek tym większej czujności pisarskiej. Byłoby sądzę w kole tak świetnych pisarzy rzeczą zbędną mówić o tym cieniu, który nam pisarzom przy naszej pracy stale towarzyszy: o poczuciu odpowiedzialności za słowo, które przeznaczone jest przecież dla wielu.

Mówi się często o samotności pisarzy i poetów. To nieprawda. Pisarz nigdy nie jest samotny. Na słowach jego, ledwie napisanych, już spoczywają oczy jego przyszłych czytelników. Oni nas sądzą. Oni wcześniej czy później zapytają nas z całą surowością, czyśmy nie kłamali. Nie będą pobłażliwi dla naszych słabości.

Pisząc swoją pracę o Mickiewiczu, odczuwałem stale niedostateczność środków, którymi rozporządzam w stosunku do tematu tak wielkiego jak naród. Dlatego tutaj przy tej sposobności śmiem prosić kolegów i wszystkich czytelników tej opowieści o wyrozumiałość dla jej błędów i braków.

Któż z nas bowiem naprawdę zdoła pomieścić w sobie i przeżyć ten żywot wielki i tragiczny. Kto potrafi rozpalić w sobie na nowo słońce, które wydało „Odę do młodości" albo zstąpić w noc najgłębszą, w której poczęła się „Improwizacja".

Sądzę, iż przez odznaczenie nagrodą „Odrodzenia" książki o Mickiewiczu w Roku Mickiewiczowskim jury chciało dać wyraz tej prawdzie, że Polska odrodzona, Polska ludowa, Polska przyszłości nie wyrzeka się postępowej, twórczej puścizny przeszłych wieków — przeciwnie, że podkreśla i wydobywa na jaw genealogię dnia dzisiejszego, że chroni dziedzictwo kulturalne nie po to, by tamowało ruch postępowy dziejów, lecz po to, by ruch ten nie zawisnął w próżni bezdziejowej.

Żyjemy w czasie trudnym, lecz wyjątkowo zdolnym poruszyć myśl i wyobraźnię. W czasie zwrotnym, w czasie przemiennym. W czasie, gdy osobowość pisarza zdaje się schodzić na plan dalszy a wybija się jego dzieło. „Zniknąć we wykonaniu dzieła" — to marzenie jednego z naszych największych poetów zdaje się dziś nabierać właściwego, społecznego znaczenia. Zniknąć w wykonaniu dzieła, aby dzieło mówiło o pracy, o pięknie, o miłości i nadziei całego społeczeństwa. Pozwólcie mi tym marzeniem, które my wszyscy, pisarze nowej Polski żywimy, zamknąć słowa podzięki i wdzięczności za nagrodzenie moich dobrych chęci.

Prócz Jarosława Iwaszkiewicza, Pawła Hertza i laureata Mieczysława Jastruna zagajał, jako przewodniczący jury i przemawiał Karol Kuryluk oraz laureat zeszłorocznej nagrody Jerzy Andrzejewski, który przekazał Mieczysławowi Jastrunowi symboliczną laseczkę nagrody „Odrodzenia".

Pola Gojawiczyńska — laureatka nagrody literackiej miasta Warszawy

STANISŁAW JANKOWSKI

Od kanałów Starówki do Trasy WZ

„W związku z budową tunelu na Trasie WZ należy zmienić przebieg kolektora kanalizacyjnego pod ulicą Miodową".

Kanał i tunel... To przecież tylko dwa objekty inżynierskie, ot po prostu mniejsza lub większa rura żelbetowa. A jednak dla mnie architekta Pracowni WZ to skojarzenia zgoła nieoczekiwane. Wspomnienia zaskakujące zarówno swą zbieżnością, jak i różnorodnością.

Kanał pod Miodową — to lato 1944, Warszawskie Powstanie, tunel pod tąż samą Miodową — to lato 1949, budowa nowej Warszawy. Oba te momenty przeżyłem, właśnie w tym najpiękniejszym i najdostojniejszym zarazem miejscu Warszawy — na wysokiej nadwiślańskiej skarpie Starego Miasta.

✤

Wśród monotonii mazowieckiej równiny — miejsce to szczególnie piękne. Tu Warszawa rzeczywiście leży nad Wisłą. Fakt, o którym może nie wie ogromna większość jej mieszkańców, nawet tych z Nowego Światu i Marszałkowskiej, a cóż dopiero tych z odległej Woli czy Ochoty. Miejsce, które jednako oczarowało mistrza Canaletto, gdy z praskich łąk malował sylwetę Placu Zamkowego, jak i spawacza na moście Śląsko - Dąbrowskim, gdy zsunąwszy na tył głowy kask ochronny, wypoczywał, sycąc wzrok sylwetą kościoła Św. Anny, wyrosłego ponad Trasą WZ.

Kiedyś, może 2000 lat temu, Wisła płynęła tam, gdzie dziś na Rynku Mariensztackim strumień fontanny zmywa mozaikowe ryby i wodniaki. Ale cisza i spokój nie trwały długo. Komunikacja, kształtująca niejedną kartę historii, szybko upomniała się o swe prawa. Dogodna przeprawa wiślana rodzi osadę, później miasteczko. Z czasem książęta Mazowieccy budują swój drewniany obronny zameczek i odtąd skarpa warszawska wchodzi do historii. Tuż obok powstaje gotyckie miasteczko z bajkową architekturą mieszczańskich kamienic i przejrzystą strukturą urbanistyczną. Tu, oblegających Warszawę Szwedów gromi Pan Zagłoba. Tu powstaje w XVII i XVIII w. Krakowskie Przedmieście, zdobne od Wisły ogrodami i magnackimi pałacami. Tu wreszcie rozgrywają się dwa ostatnie akty z historii Warszawy: jej zagłada i jej feniksowe narodziny. We wspaniałej oprawie Starego Miasta i Placu Zamkowego, hitlerowskie Niemcy wypisały swe ponure prawo śmierci i zagłady, tu u stóp Starego Miasta, ludowa Polska zadokumentowała swe radosne prawo życia i pracy.

Pierwsze zrozumiałem jako dowódca powstańczego plutonu, idąc kanałem pod Miodową, drugie — budując i projektując jako architekt - urbanista pod tąże Miodową Trasę WZ.

✤

Moje kanałowe przygody rozpoczęły się daleko na Żoliborzu. Przyszliśmy tam 14 sierpnia, górą z otoczonej Starówki, by nawiązać zerwaną łączność, zanieść rozkazy i utorować drogę powrotną. Na niebie panowały wówczas niepodzielnie niemieckie Stukasy, na ziemi niemieckie czołgi i artyleria, została nam tylko droga pod ziemią, kanałami. Próbowano jej już wielokrotnie, ale dotychczas nikt nie przeszedł pod prąd z Żoliborza na Starówkę. Cuchnące błocko zazdrośnie strzegło swych ciemnych labiryntów.

Ale łączność nawiązana przez nas nie dała spodziewanych rezultatów i w dwa tygodnie później wchodziliśmy znów do kanału. Tym razem w blasku łun i migotliwym świetle niemieckich rakiet, pod ogniem cekaemów i granatników złaziłem do kanału na Długiej, by pod Miodową i Krakowskim Przedmieściem dojść do śródmieścia.

Byłem wtedy żołnierzem, ale byłem także architektem. I wówczas, gdy wśród ruin oglądałem pozorną śmierć miasta, otwierałem coraz szerzej oczy jako architekt. Było nas kilku, którzy w te najsmutniejsze dni zawodu i goryczy, odnaleźli wspólną wiarę w lepsze jutro. Zamiast mówić o klęsce, o zagładzie miasta, dyskutowaliśmy o jego przyszłej odbudowie. Dn. 26.IX.1944 wśród walących się ulic kolega urbanista dał mi napisane na zachowanej jeszcze maszynie „Wytyczne programu odbudowy Warszawy".

rys. Jan Knothe

Ściana oporowa wschodniego wlotu do tunelu

Dziwnym zrządzeniem losu mam do dziś dnia tę kartkę. Pierwszy jej punkt brzmiał.

„Przed przystąpieniem do jakichkolwiek prac związanych z odbudową Warszawy musi być sporządzony plan tej odbudowy w formie urbanistycznego szkicu programowego.

Przedmiotem urbanistycznego szkicu programowego jest nie tylko odbudowa lecz również gruntowna przebudowa Warszawy, zmierzająca do naprawienia błędów jej rozwoju w ciągu ostatniego stulecia, powrotu do zdrowej tradycji urbanistycznej oraz zaspokojenia pełni współczesnych potrzeb „społecznych, artystycznych i technicznych w życiu wielkiego miasta".

Gdym to czytał w 1944, nie marzyłem nawet, że dane mi będzie realizować to już w trzy lata później w Warszawie 1947.

I znów wróciłem na Plac Zamkowy, na Miodową. Wiosną 1947 roku dostałem w BOS zadanie opracowania szkicowej koncepcji „dojazdów do mostu na kierunkach Wschód i Zachód", mostu który będzie odbudowany na dawnych filarach Kierbedzia

„Dojazdy do mostu na kierunkach W—Z" to była nazwa długa. Powstała przy rajzbrecie w pracowni nazwa robocza „Trasa WZ", przyjęła się. Ogólna koncepcja była bardzo prosta. Tak samo jak przed wiekami zadecydowała o niej komunikacja i warszawska skarpa. Miejsce przyszłego mostu wyznaczały sterczące z wody potrzaskane filary Kierbedzia, nadal jeszcze ogromnie cenne i nadające się do szybkiej odbudowy. A dojazdy do mostu? Na praskim brzegu wystarczy połączyć linią prostą przyczółek mostowy z wschodnim wylotem miasta, szosą radzymińską. Na drodze był tylko dawny dworzec wileński, przez który trzeba się było przebić.

Ale na lewym warszawskim brzegu sytuacja była bardziej skomplikowana, tu trzeba było wydostać się na wysoką skarpę, a jednocześnie ominąć jej część najpiękniejszą, zabytkowy rejon Placu Zamkowego. Nasz projekt przewidywał tunel i dwupoziomowe skrzyżowanie z Wisło-Stradą, ale co gorsza przewidywał konsekwentnie wyburzenie wiaduktu Panzera, popularnie zwanego Nowym Zjazdem (którego jedno przęsło wysadzili w powietrze Niemcy) i stojących przy nim domów.

Gdyśmy omawiali projekt wspólnie przy rajzbrecie i w terenie, wiedzieliśmy, że mamy bardzo małe szanse. Przecież to był rok 1947. Trzeci rok odbudowy. Trzeba było zapewnić miastu warunki życia i pracy: przede wszystkim dać jak najszybciej dach nad głową jego ludności. W takich warunkach każda istniejąca futryna, niespalony dach, a cóż dopiero cały dom, to był skarb, który trzeba było zachować.

A nasz projekt Trasy WZ kazał burzyć. I to burzyć nie tylko istniejące i zamieszkałe budynki, ale nawet urządzenia komunikacyjne. Propozycja wyburzenia do reszty wiaduktu Panzera, zacnego staruszka, którego ceglane łuki tak dzielnie służyły niemal sto lat Warszawie, była nawet dla wielu fachowców nie do przyjęcia. Odbudowa wiaduktu Panzera, była niemal przesądzona. Radzono nam po prostu odłożyć projekt. Wytaczano poważne argumenty techniczne i finansowe: odbudowa wiaduktu jest łatwa, szybka i tania, a budowa projektowanej trasy jest trudna wymaga wiele czasu i jest bardziej kosztowna.

Problem zburzenia wiaduktu, drobna decyzja techniczna, urastała do decyzji zasadniczej dla przyszłej Warszawy: odbudowa czy przebudowa. Ważyły się losy, nie tylko naszego projektu. Zaczęliśmy patrzeć na łuki panzerowskie jak na osobistego wroga. Czuliśmy dobrze, że to zasadnicza potyczka w bitwie o nową Warszawę. 4.VII.1947 Prezydent RP. Bolesław Bierut przyjechał do Pracowni w Ujazdowie w towarzystwie dzisiejszego Ministra Budownictwa M. Spychalskiego i licznego grona fachowców. Wiedzieliśmy, że teraz zapadnie decyzja. Wierzyliśmy mocno w słuszność projektu i we wspaniałe możliwości, jakie dla urbanistyki stwarza Polska Ludowa. Decyzja zapadła. Huk wybuchów wysadzających resztki Panzera dał najpiękniejsze potwierdzenie naszych marzeń.

✤

Potem było jeszcze wiele trudnych dni i nieprzespanych nocy. Ale już było nas bardzo wielu. Plac Zamkowy ożył najpierw jako miasteczko baraków, potem głębokimi wykopami, potem wreszcie elewacjami kamienic Krakowskiego Przedmieścia. Nitownicy Mostostalu i murarze Betonstalu dyskutowali z nami zasady projektu.

Most Śląsko - Dąbrowski — najpiękniejszy most Warszawy — przypomniał znowu Pradze, że leży ona o paręset metrów zaledwie od Kościoła Św. Anny, od Placu Zamkowego. Trasa WZ przestała być sprawą tylko naszą — jej projektodawców i wykonawców — stała się sprawą Warszawy, sprawą Polski.

Dziś pod ulicą Miodową na odcinku Trasy WZ, nie ma kolektora kanalizacyjnego — biegnie tam tunel.

Gdy w r. 1944 szedłem kanałem, czułem gorycz poniesionej klęski, gdy w r. 1949 jadę tunelem wiem, że uczestniczę w wielkim zwycięstwie.

Stanisław Jankowski

SZTUKA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

IRENA SKOWRONKÓWNA

Dziwne drogi oddziaływania książki na dziecko

W skład kryteriów ocen książek dla dzieci i młodzieży wchodzą — jako nieodzowna część — kryteria natury wychowawczej.

Jaki może być wpływ książki? Jak kształtuje ona poglądy i nastawienie dziecka? — takie pytania stawia sobie recenzent. Nie zawsze możemy z łatwością ocenić wartość wychowawczą książki, ponieważ człowiek dorosły nie umie już spojrzeć na nią oczyma dziecka. W tym artykule chciałabym rozpatrzeć te trudności na przykładzie książek o Indianach, jako niezmiernie popularnych wśród dzieci. Badania czytelnictwa przeprowadzone po wojnie wykazały, iż powieści „indiańskie" należą do książek najbardziej poszukiwanych przez małych czytelników. Kierowniczka biblioteki dziecięcej na Ochocie opowiada np. o młodzieży, która pomimo licznych prób zainteresowania jej inną literaturą, czyta tylko i wyłącznie takie powieści, a po „wyczytaniu" wszystkich, jakie są w bibliotece, przenosi się do innych czytelni, gdzie może znaleźć więcej książek tego typu. Kiedy do biblioteki na Bielanach zakupiono powieść Karola Maya „Winnetou" wywołało to ogromne zamieszanie wśród dzieci, wszyscy czytelnicy chcieli ją otrzymać i trzeba było ustalać kolejkę dla czekających.

Przyczyn takiego zainteresowania należy się doszukiwać we właściwościach psychiki dzieci (a szczególnie chłopców) w okresie 10 — 14 lat. „Wszystkie zapalczywe pasje młodości rodu ludzkiego, żądza walki i głód sławy, łaknienie przygód i pragnienie niebezpieczeństw potrafiu z wielką ponętą, jaką kryje w sobie tajemnica... przesuwają się niczym widziadła we mgle odbite przez tajemnicze oblicze morza..." — mówi Conrad w „Fantazji Almayera". Wydaje się, iż wiele z tych „zapalczywych pasyj", jakieś głębokie potrzeby dziecka zaspokajają w sposób zastępczy książki o Indianach, które dają młodym czytelnikom: żywą akcję, postaci ludzi o silnych charakterach, ludzi, którzy umieją szybko zorientować się w niebezpieczeństwie, którzy opiekują się słabszymi i stają w ich obronie. Egzotyczne tło opowiadań, walki, polowania potęgują jeszcze wywoływane wrażenie.

Pewna ilość dzieci w pewnym okresie czyta tylko powieści „indiańskie". Okres zachwytów nad przygodami czerwonoskórych minie — nawyk czytania zostanie. Ma to wielkie znaczenie w procesie wychowania czytelnika.

A jednak...

Recenzent, który otrzymuje do oceny jedną z tych książek jest w nielada kłopocie. Krwiożercze, sadystyczne sceny, gloryfikowanie białych, którzy podbijają plemiona indyjskie, ukazywanie walczących o swą wolność Indian, jako istoty podłe — musi budzić gorące sprzeciwy i obawy, że pod wpływem takiej lektury w głowach dzieci wytworzą się fałszywe wyobrażenia i nastawienia. Przecież książki takie jak „Duch puszczy" przedstawiają Indian jako sadystów polujących na białych dla dogodzenia swym krwiożerczym instynktom. Dzieci mogą uważać białych za stronę pokrzywdzoną, za ofiary napaści „psów czerwonoskórych".

Czy tak jest naprawdę? Czy te powieści szerzą rasizm? I w jaki sposób kształtują światopogląd dzieci?

Aby poznać ustosunkowanie się młodych czytelników do tych spraw, przeprowadzono wśród dzieci specjalną ankietę*). Ankieta jako środek badania ma wiele ujemnych stron. Dzieci na ogół nie lubią pisać dają więc przeważnie odpowiedzi krótkie i stereotypowe. Tym razem jednak ankieta wywołała wielkie zainteresowanie, posypały się odpowiedzi obszerne, barwne, świadczące o przejęciu się tematem i o zdecydowanej opinii młodzieży.

Spytano dzieci: gdzie i kiedy odbywały się walki białych z Indianami opisywane w powieściach, jakiej narodowości byli biali i jaka była przyczyna walki. Proszono o charakterystykę Indian i białych i o stwierdzenie, której z walczących stron przyznał rację autor, a komu przyznaje rację czytelnik. Wreszcie uczestnicy ankiety mieli podać wiadomości o sytuacji Indian w dobie obecnej.

Okazało się, iż ogromna większość dzieci zdaje sobie sprawę z czasu i miejsca, w których rozgrywała się akcja. Tylko sześcioro dzieci sądziło, że walki toczyły się „w Indiach" lub „w stepach afry-

*) Ankieta została przeprowadzona przez Referat Literatury dla Dzieci i Młodzieży w Min. Kultury i Sztuki w kl. VI i VII trzech szkół podstawowych na przedmieściach Warszawy (Wola, Targówek, Grochów). Odpowiedziało 31 chłopców i 7 dziewcząt w wieku od 12—16 lat ze znaczną przewagą 12 — 14 letnich

kańskich". Trafnie określono także narodowość białych.

Biorąc pod uwagę treść książek, można byłoby przypuszczać, iż dzieci staną po stronie białych. Tymczasem tak nie jest. Dzieci z całym zapałem bronią Indian:

„Mam więcej sympatii do Indian z powodu, że Indianie z początku byli ludźmi uczciwymi, gościli białych, dopiero jak Indianie zobaczyli, że im ziemię zagrabiają stawili im czoło i stali się okrutnymi".

„Mam więcej sympatii do Indian. Jest ich coraz mniej, dlatego gdyż biali sprowadzili alkohol tzw. „wodę ognistą", choroby nieznane im, a szczególnie łotrostwo, kłamstwo, bandytyzm i wiele innych złych rzeczy".

„Znacznie więcej mam sympatii do szlachetnych dzikusów — Indian, którzy bronią swej swobody, niż do cywilizowanych Europejczyków, którzy zabierają komuś ojczyznę i swobodę".

„Sympatia moja co do Indian i białych jest zmienna. Zależy ona od tła na jakim przedstawieni są biali i czerwoni. Zależy to od przedstawionych przez autora ich charakterystyk. Zasadniczo jednak wolę Indian".

Dzieci nie szczędzą słów krytyki białym kolonistom:

„Mordują Indian, wcale im na tym nie zależy'.

„Biali są chytrzy i mają okropny charakter".

„Biali są ludźmi niby niewinnymi, a w istocie są najgorszymi łotrami. Charakter białego człowieka cechuje jako: barbarzyńca, zdrajca, podstępca, w ogóle najgorszy z ras".

Natomiast charakterystyka Indian brzmi bardziej pozytywnie:

„Indianie za to posiadają więcej szlachetności, nawet plemiona Hurona czy Irokezów uchodząc za największych złodziei posiadają szlachetne uczucia nawet do wrogów".

„Indianie są odważni, wytrzymali, swobodni, kochają swój kraj i przyrodę, są bardzo spostrzegawczy i z tego podobni do zwierząt, że wszystko wytropią, wyczują i doskonale znają swe wielkie puszcze".

„Indianie, którzy nie znają białych ludzi są dobrzy do współżycia, ale gdy się poznają co warci są biali okrucieństwami odpowiadają na okrucieństwa."

„A Indianie są bardzo honorowi, mściwi, i zarazem dobroduszni, lecz jak kto dla nich, tak i oni dla niego".

„Indianie są szlachetni i dumni, chociaż jest to naród dziki".

„A zatem Indianie są: braterscy, koleżeńscy, szlachetni".

„Indianie są okrutni, ale to tylko dlatego, gdyż bronią swej ziemi ojczystej i jest to człowiek, liczy się, że dziki. Charakter jego: prawdomówność, stałość, rzetelność a szczególnie posłuszeństwo".

Kilkoro dzieci zaledwie broniło białych i potępiło Indian. „Biali mają taki charakter, że jak z nimi nikt nie rozpocznie walki, to oni nie rozpoczną".

„Indianie są tacy okrutni, mordują, palą, przywiązują do bali niewolników i znęcają się nad nimi, charakter mają zły".

Sympatia do białych i do Indian może być „zmienna" ze względu na szlachetne typy białych, których nie brak w powieściach. Natomiast odpowiedź na pytanie: „kto według ciebie miał rację w tych walkach?" — wypadła prawie jednomyślnie. 87 proc. dzieci przyznało rację Indianom 8 proc. — białym a reszta, dzieci zajęła stanowisko niezdecydowane.

„Walka między białymi i czerwonymi była o Amerykę. Biali walczyli o to, by zabrać ziemię Indian, a ich mieć jako niewolników, a czerwoni bronili swej ziemi, swych praw i swego dzikiego, swobodnego życia".

„Walka była wywołana o ziemie amerykańskie. Biali urodzajne ziemie chcieli zdobyć dla wzbogacenia się, a czerwoni bronili wolności i swej ojczystej ziemi".

„W książkach które czytałam autor jest zupełnie po stronie białych. Ja myślę jednak, że rację mieli Indianie.".

„W książkach, które czytałam, rację mieli w 100 proc. czerwoni. Ich obowiązkiem było bronić własnego życia i wolności. Biali walczyli tylko z chciwości i zachłanności".

„Według mnie rację mieli Indianie, gdyż walczyli o wolność a biali o złoto".

„Indianie mieli rację bo nie czerwony poszedł do białego, ale biały do czerwonego".

„Autorzy przeważnie przedstawiają rację białych. Po mojemu rację mieli Indianie, bo oni są mieszkańcami prawnymi tych ziem a biali do nich przyszli i narzucają im swą wolę".

„Indianie mieli rację, gdyż oni mieli odwieczne prawo do tej ziemi i oni walczyli o swoją wolność".

„W książkach przedstawione jest, że rację mieli biali, a czerwoni nie. Biały człowiek nie napisze prawdy jak to było w istocie, zawsze opisze siebie jako bohatera, że on ma rację, a pomyśleć naprawdę, rację mieli Indianie. Walka pomiędzy białymi i Indianami była o ziemię i o szlachetny kruszec natomiast Indianie walczyli o swą wolność ojczystą i osobistą i o swe przepiękne obyczaje".

Na podstawie tych wypowiedzi można stwierdzić, iż książkom o Indianach nie udaje się szerzyć rasizmu, przeciwnie budzą one sympatię i szacunek dla człowieka kolorowego. Dzieci myślą i z chaotycznych, sprzecznych nieraz sądów i nastawień podawanych przez książki, budują sobie swój pogląd, zadziwiająco samodzielny i trafny. Wychowane w szkole demokratycznej, w duchu uznania praw do wolności i stanowienia o sobie każdego, choćby najmniejszego narodu, umieją nawet wbrew intencjom autora znaleźć sprawiedliwy sąd. Powstaje paradoksalna sytuacja: książki pisane z określonym, obcym nam nastawieniem, oddziaływują odwrotnie do swych założeń.

Czy wobec tego wszystkie książki tego typu należy uznać za dobre? Czy nie należy przeprowadzić żadnej rewizji?

Rewizja tego typu lektury jest konieczna. Już teraz można nawet przewidzieć, iż część książek trzeba będzie odrzucić jak np. „Ducha puszczy", inne po skorygowaniu i zaopatrzeniu w komentarze (jak np. „Młody wygnaniec") będą mogły się znaleźć w bibliotekach. Poprawki i zmiany nie zastąpią nowej postępowej literatury na ten temat. Trzeba stworzyć książki nie tylko o Indianach, ale i o współczesnych walkach ludów kolorowych o wolność. Prócz powieści powinny powstać książki, w których młodzież znajdzie prawdziwe, wyczerpujące wiadomości historyczne z życia Indian. Jest to tym ważniejsze, iż ci sami czytelnicy, którzy umieją wyciągać trafne wnioski z lektury, gubią się zupełnie, jeśli ich spytać o dzisiejszą sytuację czerwonoskórych. Niektórzy mówią, że „Indianie są już cywilizowani", inni, że „Indianie skaczą dokoła ogniska, na którym smaży się biały i tylko niektórzy znają prawdę, przeważnie „z prasy" i „z gazet".

Poruszyłam tylko jedno zagadnienie dotyczące książek „indiańskich". Pozostaje jeszcze wiele do omówienia, a najważniejszą sprawą jest oczywiście okrucieństwo, które tak często występuje w tych książkach. Zagadnienia te wymagają rozważenia i specjalnych badań, które mogą również dać nieoczekiwane wyniki!

Mała ankieta, której wyniki w zarysie zostały tu omówione, ukazała, że zagadnienie wychowawczego oddziaływania książki na młodzież nie jest proste. Wpływ książki na dziecko idzie drogami bardziej skomplikowanymi niż to nam się wydaje.

Irena Skowronkówna

Ilustrowany fragment z książki p. t. „Mieszkańcy puszczy". O drodze Łapiguza Zbiega i jego towarzyszy na nasz spotkali wrodzy Indianie. Jednym z przyjaciół pogardzanej zwierzęcia był pewien Indianin. Oni kochali do dzisiaj a Indianin — przyjaciel pobratymiec [illegible] PIOTR ZGORZELSKI. kl. VII.

fot. WAF

W tym roku nagrodę miasta Warszawy za całokształt twórczości literackiej dla dzieci i młodzieży otrzymała Janina Broniewska, autorka cenionych i lubianych książek „Historia o gałgankowej Balbisi", „Ciopek Włóczęga", „Człowiek, który się kulom nie kłaniał" i i.

W druku znajduje się nowa powieść dla młodzieży Janiny Broniewskiej: „Krystek z Warszawy".

KAZIMIERA JEŻEWSKA

O BURAKACH MOŻNA RÓŻNIE...

W najprostszym, bezpośrednim odczuciu zwykłego czytelnika poezja jest rodzajem literackim uwarunkowanym przez piękno języka i stylu, który narzuca, najczęściej w formie rytmicznej i rymowanej obraz, nastrój, przeżycie poety. Ilu twórców — tyle sposobów podejścia do tematu, ale można byłoby wyodrębnić wśród nich dwie wyraźne grupy: poetów nastrojowców, liryków, którzy działają na wyobraźnię i

uczuciowość czytelnika a epików którzy przedstawiają rzeczywistość w oparciu o poznanie.

Na małym odcinku literatury dla dzieci i młodzieży — spotykamy także te dwa typy twórczości: nastrojowej, fantastycznej i narracyjnej.

— A miał ten młynarz trzy córy:
dwie były ciemne jak chmury,
a pierwszej było: Maryna,
a drugiej było: Krystyna,
a trzeciej było:

...że to nad rzeką,
...że to daleko,
...że to w dolinie,
...że to przy młynie
Wierzbina.

(H. Januszewska „Baśń o jedwabnej wstążce")

*

„To nie święci garnki lepią,
tylko garncarz Janek.
Coraz ładniej, coraz lepiej,
to miskę, to dzbanek.
Miski głębsze i płyciutkie,
dzbanki duże i niziutkie,
kubki, spodki i dwojaczki
tycie i tyciutkie..."
(E. Szymański „Garncarz")

Wszystkie rodzaje poezji mają prawo istnieć. Gorzej przedstawia się sprawa, jeśli w utworze nie ma harmonii pomiędzy formą a treścią, jeśli „poezja" nie działa na wyobraźnię, bo nie posługuje się pięknym językiem ani plastycznym obrazem. W ostatnich czasach ukazały się lub zostały zapowiedziane książki na temat produkcji różnych artykułów: chleba, ziemniaków, szkła, kauczuku, węgla itd. Obok dobrych albo poprawnych książeczek tego typu jak np. Hanny Januszewskiej „Baśń o jedwabnej wstążce", Ewy Szelburg-Zarembiny „Po nitce do kłębka", Stefanii Szuchowej, „Staszek kupuje nowe buty" i i. zjawiają się utwory, w których stosowanie mowy wiązanej lub rytmicznej jest nieporozumieniem. Jeśli bowiem autor chce pisać wierszem, powinien dać piękny opis zarówno ziemniaka jak węgla. Jeśli tego warunku nie spełnia, lepiej niech opisze rzecz dobrą prozą.

Weźmy przykład.

„W niedzielę
Janek przypilnował gęsi,
a my poszłyśmy z mamą
obejrzeć żyto —
Już się wykłosiło
i prawie przekwita..."

Czy wiersz tego rodzaju: martwy, suchy, pozbawiony wszelkich cech poezji prócz układu graficznego, naśladującego utwór wierszowany — powinien się znaleźć w ręku dziecka jako „poezja"? Układ tego utworu można przekształcić dowolnie np.

„W niedzielę Janek przypilnował
[gęsi,
a my poszłyśmy z mamą obej-
[rzeć żyto.
Już się wykłosiło i prawie
[przekwita..."

Prócz cienia paru asonansów (w całym utworze) nic nie przeszkadzałoby przedstawić obrazu prozą.

Rekord złego ujęcia tematu biją dwa wiersze znanych i dobrych autorek: o produkcji cukru i o wartości ziół.

Humorystyczny posmak (niezamierzony) ma „poezja" o cukrze pisana w rytmie: „zdyszanego wojewody" i „Trzech Budrysów":

„Zanim cukier białutki,
zanim cukier słodziutki,
mama wsypie do kawy gotowy,
nim schrupiecie lizaki,
trzeba zasiać buraki
nie czerwone, lecz białe
[cukrowe...

— — — — — — — —

Muszą dymić kominy,
muszą pędzić maszyny
jedne cicho, drugie z zgrzytem,
[hukiem,
żeby Krzyś z Klementynką,
mały chłopczyk, dziewczynka
mieć mogli cukier".

A zioła: Temat tak pachnący i pełen pokus dla poetki, która nieraz objawiła, jak czuje przyrodę i jak umie swoją poezję zestroić z jej obrazem. A jednak wiersz o ziołach przybrał tak niesamowitą formę:

„Mam siedem chorób
i co chcesz to rób".

(dziecko będzie czytało „torób" z akcentem na o). Skarży się staruszek siostrze ziolarce. A ta odpowiada:

„Czekałam ja cie (znów czytaj:
[jacie)
kochany bracie,
Wiadome rzeczy
będę cię leczyć".

Staruszek wymienia swoje choroby:

„Żołądek boli
ulżyj mej doli!

Wiadomo stary
twój brat Makary".

Więc siostra mu radzi:

„To rumianek lekarski
zaparzyłam pół garstki.

Pij po łyku, pij po dwa
rumiankowy ten odwar".

Aby zachować akcent prawidłowy „odwar", trzeba akcentować enklitykę: „po". Jeżeli się da prawidłowy akcent na „dwa" zrobi się nieco z czeska brzmiące słowo: „odwár" (jak na zdár).

Utwór kończy się zaleceniem, które mogłoby służyć jako reklama pseudolekarzowi, leczącemu ziołami:

„A pamiętaj, bracie miły,
w ziołach są lecznicze siły".

Można by śmiało do tego zielarskiego poemaciku dobudować znany staropolski utwór o podobnej rytmice, identycznym poziomie literackim, a większej wartości emocjonalnej:

Nie było w świecie
dwóch gołąbków przecie,
żeby się kochali się,
jako my kochamy się.
Lecz ojciec — o zgrozo,
zagroził nam kozo
Ale ja nie cymbał
żebym się go bym bał!
(torób, jacie, bymbał!)

Trudno wymagać, aby dziecko doby obecnej wychowywało się tylko na uroczych, ale jednostronnie rozwijających wierszach lirycznych i fantastycznych. Bogata tematyka przemian społecznych, pracy, poezji codziennego trudu, poezji walki tematyka ciekawa, informująca o rzeczywistości — czeka na dobre opracowanie dobrych autorów, ale marny będzie los dziecka karmionego „poezją" o produkcji cukru czy też o wartości ziół na takim poziomie artystycznym jak przytoczone wiersze. Forma nie może kłócić się z treścią. Czytelnik nie może się czuć jak słuchacz, któremu grają poloneza A-Dur w rytmie foxtrotta. (Zrobiła to w swoim czasie orkiestra amerykańska pod batutą Stokowskiego).

Utwór poetycki powinien dać czytelnikowi przeżycie artystyczne, a tego spełnić nie zdoła, jeżeli nie będzie w nim ładu, harmonii formy i treści, to obowiązuje tak samo poemat jak mały wierszyk dla dzieci.

Nie wolno przyprawiać tematu według recepty ziołowej siostry Makarego, jest to przepis stary, niesławnej pamięci, rymotwórcy — księdza Baki.

Kazimiera Jeżewska

KSIĄŻKI NADESŁANE

A. C. Centkiewiczowie. Odarpi, syn Egigwy, Warszawa, „Czytelnik", 1948 str. 164 i 4 nl.

Urocza powieść o małym Eskimosie, który wchodzi w życie dorosłego człowieka, biorąc udział w niebezpiecznych wyprawach myśliwskich.

Helena Bobińska. Lipniacy, Warszawa, „Książka" 1949, str. 191 i nl.

Podczas wakacji gromadka dzieci stawia pod lipami kilka domków z darni. Ta zabawa daje początek budowie warownego grodu, a później „Rzeczpospolitej Lipińskiej".

Książka ma duże wartości wychowawcze, ponieważ w sposób zrozumiały i ciekawy pokazuje dzieciom prawdziwe trudności, jakie powstają przy budowie państwa.

Wanda Markowska. Mity Greckiej. Warszawa, „Książka i Wiedza" 1949; 226 i 2 nl

Zbiór opowiadań o legendarnych bohaterach Grecji starożytnej, zaopatrzony w komentarz autorki, powinien się znaleźć w biblioteczkach młodzieżowych, jako pomoc przy samokształceniu. Młodzi czytelnicy znajdą tam wyjaśnienia wielu utartych powiedzeń powtarzanych najczęściej bez zrozumienia np. „nić Ariadny" „szata Dejaniry" itd.

M. Priszwin. O czy mówią raki. Warszawa. „Książka i Wiedza", 1949; str. 76 i 4 nl.

Znany już w Polsce autor daje dzieciom krótkie, ciekawe opowiadania z życia zwierząt.

Zofia Malicka i Maria Kownacka. Leszczynowa Górka. Warszawa. „Nasza Księgarnia" 1949; str. 39 i 1 nl.

Opowiadania dla młodszych dzieci o przygodach z domowymi i leśnymi zwierzętami zainteresują napewno młodych czytelników.

JERZY BROSZKIEWICZ

KSZTAŁT MIŁOŚCI

Cóż wiesz o pięknem? Kształtem jest miłości
Cyprian K. Norwid („Prometidion")

rysunki ANTONIEGO UNIECHOWSKIEGO

6)

Innym znów razem — na dworze październik w deszczu — profesor Elsner oparł mu przyciężką dłoń na ramieniu:

— Słucham cię uważnie, panie Frycku. I radzę prosto: szukaj w sobie miłości do pięknych czasów historii narodowej. Szukaj w sobie echa pieśni, które niesie wieś wesoła, wieś spokojna. Pojmiesz wtedy swe obowiązki i swe chęci.

Fryckowi spodobały się deszcz, jesień i dobra rada dobrego mistrza Elsnera. Ale dobrymi radami dawno już wybrukowano przedsionek piekła, zaś właśnie przed godziną Frycek spłakał się bezradnie nad klawiaturą. Chciał — bardzo, najgoręcej chciał — uchwycić spamiętaną latem, huczną pieśń korowodu weselnego pędzącego na dziesięciu brykach z Joli-bordu w stronę Bielan. Nie trudno powtórzyć melodię. Ale jak przypomnieć w kilkudziesięciu taktach cały prawdziwy obraz życia tego korowodu. Ma tam być słońce, wiatr i obłoki — stukot kopyt, i dzwonienie zaprzęgu — rytm basów, pisk skrzypiec, i ponad wszystkim szeroka pieśń, wysoka pieśń, drużby wiodącego orszak.

Frycek próbował wygrać to wszystko już ze sto razy — dziesięć razy płakał. Dziś próbował po raz setny pierwszy, więc spłakał się po raz jedenasty. Wspomnienie jest piękne, lecz zbyt kruche — przecieka przez palce, jak lotny piasek. Wszystkie próby na nic. Wszystkie dobre chęci na nic. Dobrymi radami i chęciami wybrukowano wszystkie przedpiekla.

Mówicie tyle o pieśni gminnej. Gdzież ją odnaleźć? Gdzież ją pochwycić na gorącym uczynku? Dziś już wiadomo, że knajpa czerniakowska śmierdzi świętem Cerery, a święto Cerery „szweizerbubami" od dziesięciu boleści.

Bardzo to było piękne: październikowy szybki zmierzch w deszczu. Deszcz chodził po szybie jak skłócone zegary. Cóż z tego? Wszystkie uroki tego wieczoru niczego nie potrafiły powiedzieć o pieśni pierwszego drużby. Wieczory, w które niesie się po polach jego pieśń mają całkiem inny pejzaż, inny smak, zapach i rytm.

Na krótko przed zachodem wiatr rozpędził ławicę chmur ciemniejącą po wschodniej stronie nieba a zmierzch począł zacierać granice pomiędzy niebem i ziemią. Nie wiadomo już gdzie las, gdzie Sas, gdzie zaś droga i topole. Ciemność jest coraz bliższa i gęstsza od wiatru, więc dojrzeć jeszcze tylko można tuż przed oczami pęki trawy — trawa pachnie rosą. Dłonie pachną roztartym listkiem mięty, końskim potem i rzemieniem, w ustach cierpki posmak wczesnych jabłek, zaś wiatr niesie wesoły rytm pieśni. — Słuchaj uważnie — upominał dobry mistrz Elsner.

Przymknąwszy oczy widzi się wokół dworskiej karczmy czerwony krąg światła. Dziś karczma jest za mała dla tańczących. Na zajeździe rozpalono ognisko — co chwilę sucha gałąź strzela wysokim płomieniem i wtedy ciemność ucieka pod sam szczyt topoli.

Najważniejszy jest jednak w tym wszystkim rytm basetii, skrzypiec, krzyków, gwizdów i wysokich głosów, które wiatr niesie prosto ku uszom i sercu.

Nikt nie wie o tym Fryderykowi chodzi. Tamci wszyscy kpią z chamskich zabaw, basetli i skrzypiec.

A więc pieśń gminna ma być piękną prawdą dopiero pod piórem Lipińskiego lub Brodzińskiego? Kpiny! Prawdziwą zaś pieśń uważa się za wrzaski, wycie, piski i fałsze? Dobry Boże! — Chropawość tej muzyki czujesz puszkami palców, tak żarliwie, jak rzeźbiarze czują chropowatości granitowego złomu, kształt swej tęsknoty do rzeźby.

Piosenki o „Jagusiach" śpiewane przez czułe panny utrzymywano na dziesięć tysięcy sposobów — zapach mięty zabito zapachem piżma, smak wczesnych jabłek smakiem francuskich słodyczy. Na szczęście — na wielkie szczęście — świat jest wymowny w każdym swoim szczególe. W domu nikt nie słyszał cichych kroków kornika — były zbyt lekkie na ciężki słuch Domka, Tytka czy maestra Wojciecha. Lecz jakże można mijać obojętnie całą muzyczną wymowność zielonego kraju? Jak można tak naiwnie i nieudolnie oszukiwać siebie i innych słodzonymi sztychami, pastereczkami, lukrowanym pawim piórkiem?

Lukrowane pawie piórko uznajemy za symbol — za symbol głupoty i głuchoty! Pieśni gminne poddano przecież cukierniczym zabiegom i uczyniono z nich przysmaczek dla teatralnych gości, koncertowych bywalców i sentymentalnych czytelniczek. Jak wiadomo przysmaki, bakalie i ciasteczka powinny czule gładzić podniebienie — oto jedyny ich obowiązek. Z tego więc faktu wynika jasny morał: Jagusie, Jasie i Kasie to nie ludzie, to ciasteczka. Ciasteczka zaś nie mogą być smutne ani głodne. Ciasteczka winny być lukrowane! „Prawdziwe" obrazy życia też — innych zapewne nie zniosłyby czułe wielbicielki trosk „Filona czy Laury".

Wiatr niesie w pole nowy pęk iskier. Śpiewa ktoś skryty w grupie muzykantów, a cienie tańczących biegną po ścianach karczmy. Topole błyskają to czerwienią, to czernią.

Słuchaj uważnie — ziemia w tym kraju jest płaska i jałowa. Trzeba walczyć z jej bezpłodnością, z wiatrem, który niesie grady lub burze, ze słońcem, które sprawia, że w czas posuchy ziemia pęka, jak skóra na spracowanych dłoniach. Ludzie w tym kraju nie myślą jednak o klęskach posuchy, ognia, gradu czy wojny. Myślą o wesołej walce. Chłopak, którego śpiew biegnie teraz za iskrami ku polom ma głos wysoki i jasny. Jego krzyczana pieśń pulsuje bardzo pysznym rytmem, melodia idzie ku górze skokami wzrastającej odwagi — ktoś gwizdnął na palcach ostro jak nożem: niech wiatr górą niesie burzę — my jutro od świtu pójdziemy w pola z kosami.

O tej porze wszyscy jeszcze śpią. Za oknem mgła. Otwierane okno skrzypi — w mgłę skacze się, jak w mleko.

Potem znajoma droga: ścieżką przez ogród, w parkanie za krzakami dzikiego bzu przełaz, na koniec warto przegramolić się przez rów. Przed tobą pole. Jeszcze zimne od nocy, rosy i mgły, ale gotowe już na przyjęcie słońca.

Od strony dworu senny tupot, senne pohukiwanie — bydło idzie w łąki.

Tak — mgła przypada ku trawom i zbożom, mała chwila ciszy i oto cały wschód wypełnia się bielą i rozpylonym złotem po brzegi. Własny cień urósł do zdumiewającej długości, a pole błyszczy rosą. Niebo zaś jest niebieskie tylko za plecami — w tej bowiem stronie, do której stoi się twarzą jest nie inne, jak albo białe, albo złote.

Dwie najbliższe topole też zmieniły kolor: wyższa, prześwietlona słońcem, płonie zieloną czerwienią — druga nasyca się wszystkimi barwami tęczy.

Tymczasem — po prawej stronie ziemi i nieba — szerokim łukiem rzuconej przez pole drogi wlecze się leniwe, niesforne, nieskładne stado, syci drżącą jeszcze od snu skórę ciepłem nowego słońca, a wietrząc ostry zapach traw, obwołuje swą radość głosem stada myśliwskich rogów. Pastuch też zaczyna swoją śpiewkę — od łąk odpiskuje mu fujarka.

Można już przysiąść na wyznaczającym miedzę kamieniu, można czujnie przymknąć oczy i słuchać.

Ziemia w tym kraju jest płaska i jesienią gubi się w deszczach. Po łąkach wloką się dymy razem z mgłami. Nie zawsze słońce grzeje tak pięknie, jak dziś. Na przednówku małe dzieci mają wargi wąskie i drżące.

Więc jeśli słuchasz uważnie, jeśli pojmujesz wymowność świata, to pojmiesz też taką prawdę: w tym kraju zielonym, pięknym, płaskim jak rozwarta dłoń, dzieją się wszystkie ludzkie sprawy. Mówią o nich pieśni chropawe i nieuczone. Dotknij chropawego pnia najbliższej lipy — pod jej szorstką korą kryje się drewno gotowe na przyjęcie czułej wyobraźni artysty. Dotknij też owych pieśni, czekają na swój prawdziwy obraz życia.

*

Jesienie w Polsce są krótkie. Wrzesień — zazwyczaj słoneczny i złoty — pachnie straganami jabłek, niebem suną klucze kulistych obłoków, jak w sierpniu. Dopiero gdzieś w połowie października ruszają wiatry północne i wschodnie. Nocami szyby dzwonią w zimnym deszczu. Pod koniec zaś listopada myśli się już o mrozie, śniegu, o sianie pod obrusem. Zima, St. Nicolas, kolędy — oto temat adwentowych rozmyślań.

Tego jednak roku jesień wlecze się tygodniami i miesiącami, jak nudna choroba. U Chopinów Zuska co wieczora parzy to kwiat lipowy, to żołędzie, to jakieś inne jeszcze ziółka przeciw kaszlom, katarom, gorączkom. Doktór Malcz przychodzi co trzeci, czwarty dzień. Emilka nie może pożbyć się wypieków, Ludka kaszle, nawet Izabella domowy tur i mocarz, bierze gorące kompresy — sam profesor opuścił tydzień wykładów.

Jeden Frycek trzyma się dzielnie. Z początkiem października przeleżał dzień czy dwa na rozkaz pani Justyny, była to jednak tylko czuła, rzewna tyrania mamy, a nie żadna choroba. Coś się domowym zwidziało, że zakasłał, zachrząkał zbyt chorobliwie na porę deszczu. Wsadzili go więc pod pierzynę razem z dwiema gorącymi butelkami. W wydostaniu się z niewoli pomógł walnie dopiero doktór Malcz — wyknił mamine strachy na Lachy i nakazał wstać: po co rozpieszczać, pytał, z tak wesołym śmiechem, jakby chciał zagadać swój niepokój o kaszle i temperatury Emilki.

Jesień w Polsce bywa bardzo piękna, ta jednak mierzi i męczy wszystkich. Frycka przed jej brzydotą ratuje praca — ślęczy nad klawiaturą, nad nutami, nad nutowym papierem, wszystkie myśli i sprawy nasyca muzyką. Nieważne są ostre, podszyte deszczem i mgłą wiatry, ciężkie od snu poranki i skisłe popołudnia. Mroczne dni tego października rozjaśniają tonację i weźmią i niepokoją swą nowością, zadziwiają egotyzmem z nieznanego źródła zaczerpniętym. Wysłuchawszy ich raz i drugi niesposób nie spytać, gdzieś to odkrył i odnalazł? Frycek tajemniczo potrząsa głową, wybucha wysokim i dumnym śmiechem.

— To moje — mówi. W głosie czai się złośliwość; chłopcy umieją kpić z niewiedzy i bezradności dorosłych.

— Moje — powtarza.

Żywny zaś rozciera zmarznięte palce, chmurzy się lekko, mruży oczy.

sole linie plączących się po głowie nadwiślańskich fraz. Usłużna pamięć i usłużne palce coraz lepiej wysługują się wspomnieniom, a choć Fryderyk dobrze wie jak daleka jeszcze droga do szczęśliwych dni w kraju wielkiej miłości, to jednak myśl o owej drodze nie jest tylko smutkiem, goryczą i bezradnością.

Wypada dodać, że tej jesieni Frycek pisze bardzo niewiele — gra. Gra godzinami — rano, w południe, wieczorem. Poza normalnymi egzercycjami bawi się jednym czy drugim walczykiem, jakąś wariacją lub galopadą, spisuje to czasem z bylejakim pośpiechem i uśmiechem. Przeważnie jednak odpracowawszy co trzeba z etiud, fug, sonat i koncertów naznoszonych przez mistrza Wojciecha, szuka umyślonych interwałów, tonacji, akordów. Wszystko to pozornie nie ma początku, ni końca, nie wiadomo o co tu chodzi — tak, jakbyś błądził ołówkiem po karcie papieru: pod puszkami palców rodzą się niby mgliste, niby bezmyślne rysuneczki, arabeski, rytmy, plamy dźwięków o niejasnym, płynnym kolorycie.

Małe szczenię ma powieki zarośnięte śmiesznie i bezradnie. Dotknijcie jego piersi. Rytm serca jest również śmiesznie szybki i bezradny. Wzruszymy się dopiero myśląc o tym, że życie wyrasta ze strachu, ciemności i bólu — wzruszenie odpędzi każdą kpinę na temat ślepoty i jęków najmniejszego szczenięcia.

Potem powieki podnoszą się — świat staje w świetle. Szczenie wyrusza w podróże, świat nęci zapachem, smakiem, słońcem. Teraz nasze wzruszenie zabarwi śmiech, podszyty przyjazną radością. Szczenię plącze się we własnych łapach i ochotach, tocząc się ku misce z mlekiem podwija przednie łapy pod tłusty brzuch i sunie nosem po ziemi: pisk! — nie usłyszysz w nim już jednak strachów ani lęków. Mimo, że łapy plączą się, drżą i bolą, zaczynają się dni dzielności zgoła junackiej. Z tygodnia na tydzień junacka radość dojrzewa i krzepnie — mniejsza więc o dawne lęki.

A zatem ta smutna jesień jest wesoła. Zajrzyjcie do kuchni, od razu trzeba się uśmiechnąć: mały, tłusty, krótkowłosy psiak dzielnie tarmosi trepek Zuski. Jego krzyk jest wysoki i dumny.

W salonie słychać śmiech Frycka — pokazuje mistrzowi Żywnemu wymyśloną wczoraj kadencję akordów. Nie ma wprawdzie początku ni końca — ot, kilka taktów, rozwiązujących się na do-majorowej tonice. Słuchając ich jednak Żywny unosi ze zdumieniem i niepokojem brwi. Owe akordy nie przywodzą na myśl nic zasłyszanego. Drażnią i niepokoją swą nowością, zadziwiają egotyzmem z nieznanego źródła zaczerpniętym. Wysłuchawszy ich raz i drugi niesposób nie spytać, gdzieś to odkrył i odnalazł? Frycek tajemniczo potrząsa głową, wybucha wysokim i dumnym śmiechem.

— To moje — mówi. W głosie czai się złośliwość; chłopcy umieją kpić z niewiedzy i bezradności dorosłych.

— Moje — powtarza.

Żywny zaś rozciera zmarznięte palce, chmurzy się lekko, mruży oczy. Mówi, że ciekawe — warto próbować. Po oczach jednak, spłoszonych choć przymkniętych widać dobrze, jak mało wie o co tu chodzi i o czym w owych próbach mowa.

To, że pan Wojciech ostatnio stracił na wesołości i dowcipie kładzie się na karb jesieni. On sam tłumaczy zatajane, lecz mimo wszystko widoczne smutki porą roku i porą życia — jesień nie radość. Wszyscy wierzą — panu Wojciechowi ręce drżą już wyraźnie, zaś broda nad chudą grdyką trzęsie się dla młodych przede wszystkim śmiesznie. Ale dla starych?

Dziś jest już listopad. Pan Wojciech wychodząc od Chopinów podnosi wysoko kołnierz surduta i kryje głowę w ramiona. Odwieczne, węgierskie buciory chlapią przez błoto, usta trzeba przesłonić szalem — listopad niebezpieczna pora. Od Wisły idzie zle zimno. Patrząc na maestra widzi się dobrze, że przygarbione plecy dźwigają spory ciężar sporych dziesiątków lat. Andrus przebiegając pod płotem gwizdnął na palcach i wrzasnął w ulicę — stary, idź na mary! stary, idź na maary!

W domu chłód ciągnie od nieszczelnych okien, jak w zimie. Złośliwa kutwa gospodyni zakazuje palić swym drzewem a z własnej kieszeni na opał żal wydawać pieniędzy. Dopiero spory garniec grzanego gambrynusowego napoju dobrze podprawionego wódką, rozlewa po starych kościach miłe ciepło — na chandrę jednak nie pomaga ani drugi, ani trzeci.

Pora na wyjaśnienia. Wiadomo bowiem, że z tygodnia na tydzień człowiek nie upada pod ciężarem starości. Maestro od dawna jest już starcem, a przecież od dawna słynie ze swego humoru, dykteryjek i facecji. Ani mu się śni chorować. Skądże więc tegoroczne kłopoty i smutki? Jowialni, czerstwi, zdrowi staruszkowie nie ponoszą klęsk w obliczu jednej złej nawet jesieni. Dlatego też nam opinia Żywnego, ani opinia jego otoczenia nie wystarczy — tym bardziej, że sprawa jest dość prosta.

Zaczęło się od tego, że w dzień świętego Wojciecha maestro otrzymał od Fryderyka pięknie bardzo spisany przez chłopca „Polonaise pour le Piano Forté composée et dediée A Monsieur A. Żywny par son Elève Frederyk Chopin à Varsovie ce 23 Avril, 1821". Gdzieś, w skrytym dalekim planie można było sobie pomyśleć: potrafię już sam — tak: sam.

Niech nikt zresztą nie sądzi, że padły tu jakieś aluzje ,czy cienie aluzji ze strony Fryderyka. Obaj jednak wiedzą dobrze: jemu rady maestra nie są już potrzebne. Czyli: maestro dawno zrobił swoje — czemuż maestro nie odchodzi? Z szeregu określonych faktów można wyciągnąć tylko jeden wniosek. Nie jest on wesoły dla człowieka, który widzi jak przedmiot jego miłości oddala się bezpowrotnie. Wiedzą o tym dobrze wszyscy rodzice, że nic w ich dzieciach nie boli tak bardzo jak — czas.

Z wakacji Fryderyk wrócił z nowym blaskiem w oczach i w muzyce. Obcy. Silny i niespodziewanie daleki. Sprawiły to jego własny talent i ich wspólny czas — czas coraz dzielniejszej młodości i czas starego człowieka. Te dwie proste równoległe nie przecinają się nawet w nieskończoności.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Rozwój i upadek prasy brytyjskiej

(Dokończenie ze strony drugiej)

do „Timesa", podkreślając potrzebę powściągliwości; dodał, że Napoleon był bardzo rozdrażniony, i stwierdził: „Jakkolwiek tego rodzaju skarcenie jest, być może, nawet zasłużone, to jednak doprowadzenie go do gniewu i do gwałtownych uczynków, dla nas bardzo niepożądanych, byłoby poważną odpowiedzialnością". W odpowiedzi autor wstępnych artykułów „Timesa" wyraził swój pogląd jako Przewodniczący Trybunału Opinii Publicznej, nie poddał się żadnym rozkazom, i napisał: „Odpowiedzialność dziennikarzy pozostaje we wprost proporcjonalnym stosunku do swobody, jaką się cieszą. Żadne zobowiązanie moralne nie może być poważniejsze. Ale ich obowiązki nie są takie same, jak obowiązki mężów stanu. Wykryć prawdziwy stan rzeczy, wiernie go opisać, zastosować doń zasady sprawiedliwości, ludzkości i prawa, dotrzeć do świadomości sumienia narodów, wezwać sąd świata, aby potępił fałsz, podłość i tyranię — to wydaje mi się obowiązkiem publicysty".

Jako drugi przykład przytacza Kingsley Martin opowiadanie starego J. A. Spendera, weterana odpowiedzialnej publicystyki politycznej, redaktora małego, lecz niegdyś bardzo wpływowego, pisma liberalnego „The Westminster Gazette". Spender, zaniepokojny niebezpieczną wojowniczością jednego z nowych dzienników, opartych na zasadzie dochodowości, odwiedził właściciela i zapytał go, czy uważa swoją akcję za słuszną. Właściciel posłał natychmiast po sprawozdania dziennych nakładów i, wskazując na ostatnie cyfry, rzekł: „Nie, mój drogi, zapewniam cię, że się mylisz. Spójrz tylko na te dane. Sprzedaż zwiększa się z każdym dniem, od kiedy prowadzimy tę politykę". „Nie żartował wcale", dodaje Kingsley Martin, „ani nie chciał być cynikiem. Po prostu nie przyszło mu do głowy wątpić w słuszność jakiejkolwiek linii politycznej, która zwiększała jego nakład".

Wychodząc z takich właśnie założeń Northcliffe, który wielu rzeczy nie wiedział, ale doskonale wiedział, jak sprzedawać gazety, ułożył następującą listę zainteresowań czytelników: wojna, zagadnienia erotyczne, kryminalistyka, sport, zdrowie i szczęście domowe. W tej kolejności! I Northcliffe zaspokajał te zainteresowania — jak to czynią do dziś dnia angielskie tygodniki i dzienniki o wielkim nakładzie.

Kingsley Martin pisze na ten temat: „Największe nakłady powstały dzięki kryminalistyce i erotyzmowi, które w tym purytańskim kraju są podstawową lekturą w niedzielne poranki. Technika przedstawienia publiczności brytyjskiej ostatniego skandalu, lub w jego braku, odgrzewanych amorów Karola II czy Ludwika XV jest charakterystyczna... prasa, która zaopatruje purytańską Anglię w seksualne czytanki musi z góry zakładać dezaprobatę czytelników. Pruderia i łubieżność muszą być zaspokajane jednocześnie... taka metoda zapewnia maksimum satysfakcji. Doznajemy purytańskiej satysfakcji potępienia nieprzyzwoitości w połączeniu z bardzo ludzką przyjemnością dowiedzenia się możliwie jak najwięcej soczystych szczegółów. Tylko w Anglii niedzielna gazeta, która opublikowała artykuł, bezwzględnie potępiający niemoralność i zepsucie tak poważnej powieści, jak „Studnia samotności", może w następnym tygodniu podać ze szczegółami wznowienie procesu Oscara Wilde'a".

Przez naleganie, aby dawać publiczności to czego chce, Northcliffe upodlił angielskie dziennikarstwo i dziennikarzy i to upodlenie jest kontynuowane przez dzisiejsze wielkie dzienniki. Zdradzają one swoje dziedzictwo i nie dbają o odpowiedzialność kształcenia i uświadamiania szerokich rzesz czytelników, oraz rozwijania, dopuszczania do głosu ich wyższych aspiracyj zamiast najniższych.

Brytyjski wyborca jest przeciętnie zupełnym ignorantem w sprawach polityki zagranicznej i nie ma innego drogowskazu, jak swój dziennik. W tej dziedzinie pada więc bardzo łatwo ofiarą fałszu.

Przed kilku miesiącami zgłosił się do mojego biura akredytowany korespondent wielkiego tygodnika angielskiego. Pytałem go jakiego rodzaju „stories" wysyła swojej redakcji. „Przeważnie materiał źródłowy" odrzekł. „Jeżelibym chciał napisać aktualny artykuł, który by moja redakcja mogła przyjąć, artykuł musiałby być obraźliwy dla Polski". Wiem z własnego doświadczenia, jak słuszna była jego uwaga. Poprzedni korespondent tej samej gazety posłał do Londynu z Warszawy złośliwy i nieprawdziwy reportaż o nieprzychylnym przyjęciu, zgotowanym przez Polskę baletowi Sadlers Wells — reportaż, obliczony na wywołanie wrażenia u czytelnika brytyjskiego, że Polacy nie są w stanie ocenić baletu jako takiego. Byłem odpowiedzialny za zorganizowanie gościnnych występów baletu ze strony angielskiej i wiedziałem dokładnie, jak entuzjastyczna była reakcja zarówno polskich czynników oficjalnych jak i polskiej publiczności, tak w stosunku do samego pomysłu wizyty baletu, jak i w odniesieniu do wszelkich skomplikowanych formalności, oraz samych przedstawień. Kiedy zainterpelowałem korespondenta, odpowiedział mi: „Widzi pan, wszystko co piszę, musi mieć antykomunistyczne zabarwienie". Protest, przesłany do redakcji pisma przez balet Sadlers Wells został wydrukowany petitem, w samym rogu. A rzeczywiste nastawienie pisma najdokładniej ilustruje fakt, że korespondent, odwołany po tej aferze, nie tylko nie został skarcony, ale otrzymał awans.

Proszę mi wierzyć: narody brytyjskie zasługują na lepszą prasę. Spotykałem między znajomymi w Anglii — między np. członkami Izby Gmin — niekłamaną chęć dowiedzenia się o nowej Polsce prawdy, której, sami to czuli, gazety im nie dawały. Nie powinniśmy winić zbyt ostro korespondentów, którzy wysyłają wypaczone reportaże, choć ludzie innego pokroju raczej straciliby posadę, niż zniekształcili prawdę. Ale potępić musimy przede wszystkim wielkie dzienniki i ich właścicieli za porzucenie uczciwej drogi.

Gdy po raz pierwszy ukazał się „Daily Mail", mówiono, że jest pisany przez chłopców na posyłki dla chłopców na posyłki. Nie widzę w tym nic złego. Ja sam stałem niewiele wyżej niż chłopcy na posyłki, gdy zacząłem pisać dla „Manchester Evening News", „Daily Herald" i innych pism. Ale ważne jest, ażeby chłopiec, który pisze, zakładał uczciwość w chłopcu, który ma czytać, i sam był prawdomównym sprawozdawcą i komentatorem.

W początkach rozwoju prasy, ogłoszenia dały podstawy stabilizacji dziennikom i umożliwiły obniżenie cen do poziomu, który był dostępny dla przeciętnego czytelnika na codzień. Obecna tragedia polega na tym, że gazety bezwartościowe i tandetne — z punktu widzenia wartości wychowawczych, albo z punktu widzenia walki o prawa ludu, albo z punktu widzenia bezstronnej informacji o sytuacji na świecie — są najbardziej atrakcyjne dla ogłoszeń, ponieważ docierają do rąk największej ilości czytelników. Ten właśnie fakt — posiadanie największej ilości czytelników — powinien narzucać poczucie odpowiedzialności; ale w rzeczywistości to poczucie odpowiedzialności istnieje tylko w odniesieniu do akcjonariuszy, którzy dążą do zwiększenia dywidend, a nie w stosunku do czytelników, którzy zasługują na wyższy poziom pisma.

Poważniejsze czasopisma, które usiłują być obiektywne i prawdomówne, oraz apelować do ludzkiego rozsądku nie otrzymują dostatecznego poparcia ze strony ogłoszeń z powodu swej mniejszej popularności. Zmniejszony dochód powoduje konieczność wyznaczania wysokich cen za pojedynczy numer, co z kolei znowu obniża cyrkulację. Powstaje zatem niebezpieczeństwo, że gazety o najmniejszej wartości dla społeczeństwa zyskują największe poparcie dzięki ogłoszeniom. Istnieje tygodnik „News of the World" o nakładzie 8.000.000 egzemplarzy. Jego numer, który ukazał się 8 maja tego roku, składał się z 64 kolumn. 45 i 3/4 tych kolumn były zapełnione jak następuje: sprawy wewnętrzne 4 i 1/2, zagraniczne 2 (warto zauważyć, że tygodnik nosi nazwę „News of the World — Nowiny ze świata) rozrywkowe (więcej nie z zagadkami krzyżowymi, konkursami, modą, horoskopami itp.) 5 i 3/4, sport 11, rozmaitości 7, kryminalistyka i sprawozdania z sądów 15 i 1/2. A pozostałe 18 i 1/4 kolumn były zakupione i zapłacone przez ogłoszenia — 1/4 objętości całego czasopisma które poświęciło prawie jedną czwartą na zbrodnie, a ponad 60 proc. na zbrodnie, sport i zagadki konkursowe razem. Jest to dobra ilustracja faktu, że gazety, które apelują do najniższych instynktów swoich czytelników, są najlepiej subsydiowane przez ogłoszenia.

W Anglii reklama jest sama w sobie olbrzymim dochodowym przedsiębiorstwem. Wielkie fabryki, wielkie koncerny handlowe posiadają własne wydziały reklamowe, których zadaniem jest opracowywanie specjalnych kampanii reklamowych dla tysięcy produktów. Setki „wykwalifikowanych" pisarzy i artystów jest zatrudnionych udowadnianiem, że marmelada, wyprodukowana przez firmę B jest lepsza, niż marmelada firmy A, lub że jeden z londyńskich wielkich magazynów potrafi lepiej niż inny dogodzić gustom bogatego mieszczaństwa. Poza tym istnieją agencje ogłoszeń, które prowadzą kampanie reklamową w imieniu wielkich koncernów, uważających reklamę za tak ważną dziedzinę, że sami nie podejmują się jej prowadzić. Wiele tych agencji posiada biura i organizacje równie rozbudowane jak największe pismo. Prowadzą przede wszystkim tzw. „opracowywanie rynku"; wyniki mają wyjaśnić kapitalistycznemu fabrykantowi lub kupcowi, w których okolicach, w jakich klasach społecznych znajdzie najłatwiej podatny grunt dla skutecznego reklamowania swojego towaru. Na tej podstawie agencje przystępują ogłoszenia, decydują w jakich pismach należy je umieścić. Następnie, zachęcając publiczność do zwracania się o katalogi i próbki, usiłują dowieść swemu zleceniodawcy, jak skuteczna była ich metoda.

W wielu wypadkach oczywiście fabryka, agencja ogłoszeniowa i gazeta są finansowane całkowicie lub częściowo przez tych samych kapitalistów. Ale zawsze, we wszystkich wypadkach, system powyższy jest łącznym atakiem na kieszeń konsumenta w celu zgarnięcia największych zysków ze sprzedaży. Atak przeprowadzony jest bez skrupułów. Tak jak dochodowy dziennik usiłuje pozyskać sobie jak najwięcej czytelników, apelując do ich najniższych instynktów, tak samo kapitalistyczni producenci i kupcy zajęci są kwestią możliwości najkorzystniejszej sprzedaży swoich artykułów, nie oglądając się wcale na ich rzeczywistą wartość dla nabywcy.

(Dokończenie w następnym numerze)

KSIĄŻKI · KSIĄŻKI · KSIĄŻKI

„FILIPONKA"

„Filiponka" *) Ignacego Narbutta to sugestywnie udramatyzowany epizod z życia podziemia za okupacji. Sam autor nazywa we wstępie swoją historię „romantyczną a zarazem dość sensacyjną", trafnie określając w ten sposób istotną jej cechę. Czytając „Filiponkę" trudno oprzeć się wrażeniu, że to doskonale — z wyczuciem wszystkich efektów — napisany scenariusz filmu sensacyjnego w najlepszym tego słowa znaczeniu. Opowieść trzyma bowiem w napięciu od pierwszej do ostatniej strony — zakończenie rozwiązuje dopiero zagadkę. Jak najdalej posunięta oszczędność słowa, brak niemal zupełny jakichkolwiek dygresji nadaje „Filiponce" szczególne znamię. Autor opowiada w formie migawkowych wspomnień o wykryciu konfidenta w łonie organizacji podziemnej oraz o bohaterskiej roli skromnej, bezimiennej łączniczki, przezwanej Filiponką ze względu na jej przynależność do sekty tej nazwy. Filiponi — powiada Narbutt — wyrażając „bunt przeciwko skostnieniu ortodoksyjnych form chrześcijaństwa", odmawiali udziału w wojnach, gromadnie uprawiali rolę i głosili hasła równości. Bohaterstwo Filiponki jest tym większe, że zostaje osiągnięte przez przezwyciężenie większych niż u kogo innego oporów.

Akcja „Filiponki" rozgrywa się w jakimś mieście fabrycznym GG jesienią 1943 roku. Widownia, na której toczą się wypadki — pociąg, ulica pokój — naszkicowana została w jak najbardziej ogólnikowych zarysach. Tylko konturami obrysował również autor nieliczne osoby działające, uplastyczniając je jednym wbijającym się w pamięć szczegółem. Dwie łączniczki, czterech konspiratorów i, asekurujący się na przyszłość udzielaną tym konspiratorom pomocą, aptekarz — oto uczestnicy tej niebezpiecznej gry rozegranej w momencie największego napięcia — przez „małego pionka" — Filiponkę.

Tropiąc ślady Rudiego, rzekomego towarzysza z organizacji a w rzeczywistości współpracownika Niemców, bojowiec „Erwin" — w życiu cywilnym wiejski nauczyciel — zmuszony jest wyrzec się ukochanej kobiety, łączniczki Karoli, związanej ze zdrajcą Rudim. Silny ładunek dramatyczny, który tkwi w tym pomyśle nie został jednak przez autora w pełni wykorzystany, a wzmianka we wstępie o „wrzącym uczuciu" Erwina do Karoli pozostaje jedynie zapowiedzią. W „Filiponce" nie ma zresztą miejsca na finezje psychologiczne — skąpy tekst zmusza czytelnika do uzupełnienia brakujących ogniw. Stanowi to urok, ale zarazem i słabą stronę „Filiponki". Należy ona do rzędu tych utworów które silnie działają podczas czytania (np. sceny egzekucji — str. 23 i zabicia robotników-zamachowców — str. 57) dzięki odpowiedniej kompozycji — autor umie prowadzić akcję, zaskakiwać, zaciekawiać — lecz nie wytrzymują w pełni ściśle krytycznej analizy. Uderza niedokrwistość głównej pozytywnej postaci — ideowego bohatera — Walmonta. Może wbrew intencjom autora utrwala się w pamięci czytelnika ten ongiś tak aktywny, więziony w Polsce sanacyjnej, działacz robotniczy, jako człowiek wyczerpany i wygaszony (przypomina pod tym względem Szczukę z powieści „Popiół i diament" Andrzejewskiego). Toteż trochę trudno nam uwierzyć w jego ryzykowną ucieczkę z pociągu.

W ogóle kościec ideowy „Filiponki" jest właściwie częściowo umowny, skoro autor do końca nie mówi o tym, w imię czego walczą bojowcy z Niemcami, jaka przyświeca im ideologia. Solidarna walka robotników — wskutek ukazania fabryki „Union Textile" nie na pierwszym planie rozgrywającej się akcji, ale w odległej perspektywie — staje się tylko jednym ze składników dobrze oddanej atmosfery okupacyjnej — nie wypełnia natomiast tej luki, jaką jest w opowiadaniu brak staré ideologicznych. Z wyjątkiem oczywiście sprawy samej Filiponki i konfliktu między jej niechęcią do gwałtu, a koniecznościami, które zmuszają każdego uczciwego człowieka do aktywnej walki ze złem. Filiponka której dzieje autor przedstawia bardzo interesująco (udzielanie w toku akcji informacji należących do ekspozycji oraz wyprzedzanie relacją wydarzeń, które jeszcze nie zeszły stanowi właściwość metody artystycznej Narbutta) — właśnie mała, łagodna, „pokorna" Filiponka mści krzywdę swych towarzyszy na Niemcach i ginie pod czołgiem. Postać Filiponki jest prawdziwa, przy całym zindywidualizowaniu typowa i prawdziwie wzruszająca — odsłania prawdę o tych, którzy jak powiada autor „byli jak śrubka w maszynie jak mały trybik i dzięki wielu tego rodzaju śrubkom i trybikom nasza maszyna wciąż pracowała, wciąż była w ruchu".

Złączone z „Filiponką" drugie opowiadanie „Targ w Brzydaczowie" przenosi nas z czasów okupacji w okres przedwojenny, do zapadłej mieściny poleskiej. Akcja nieco sztucznie, z upodobania do sensacyjnej kompozycji, ścieśniona do ram jednego dnia, zawiera kilka powiązanych ze sobą wątków, z których strajk robotników tartacznych, przeradzający się wskutek ciemnoty chłopów w pogrom ludności żydowskiej zazębia się o romans żony niemieckiego kolonisty Aniuty, zamordowanej przez Cyganów.

„Targ w Brzydaczowie" pełniej niż „Filiponka" mówi zarówno o możliwościach autora jak o niebezpieczeństwach, które mu grożą.

Opowiadanie to daje świadectwo właściwego rozumienia mechanizmu społecznego. Obok wyzyskiwacza-obszarnika, wspomaganego przez żerującego na nędzy wiejskiej lichwiarza, znajdujemy tu nieuświadomionych robotników biernych zabobonnych chłopów, bałamuconych przez „sekciarzy"; dalej klasztor jezuitów i czynnego na tle dworu jezuitę o bardzo charakterystycznej przeszłości. Domyślności czytelnika pozostawiono tu szerokie pole bardziej niż słowa wymowne są pewne niedomówienia (np. starosty na temat polityki), treść ukryta między wierszami (o ile idzie o obraz „sprężystych" rządów policji). Ale jednocześnie bardziej niż w „Filiponce" występuje tu zamiłowanie autora do rozmaitych udziwnień (o czym świadczy chociażby nagromadzenie kalectw, upośledzeń umysłowych i cielesnych wśród bohaterów opowiadania). Wbrew prawdopodobieństwu zachodzących w Brzydaczowie zjawisk, udziwnienia te powodują nawet pewien fałsz w obrazie. Ostatecznie trudno zrozumieć, dlaczego w Brzydaczowie tak łatwo strajk robotników tartacznych udaremniony zostaje przez pogrom, skoro w okolicznych tartakach istnieje związek, świetlice itd., dlaczego tak łatwo pozostaje osamotniony organizator tego strajku „wodniak" Bryłuk.

Erwina Sonecka

*) Ignacy Narbutt. „Filiponka". Warszawa. „Książka i Wiedza", 1949; str. 166 i 6 n.

KORESPONDENCJA

Czy Ditta mówiła p. Vang po imieniu?

Do Redaktora „Odrodzenia"

W numerze 26 (239) „Odrodzenia" przeczytałem m. i. omówienie przez Jana Lipskiego powieści Marcina Nexo „Ditta", przełożonej ostatnio na język polski i cieszącej się znaczną poczytnością. W recenzji tej J. J. Lipski słusznie zauważa, że: „...Rozdziały o służbie Ditty w domu Vangów, w którym służąca i państwo mówią sobie po imieniu, wzajemnie sobie usługują i chodzą razem do teatru — wprowadzają obcy reszcie utworu element utopii, graniczącej chwilami z groteską..."

Trzeba bowiem zdawać sobie sprawę z tego, że jeszcze dziś zależność i ucisk człowieka przez człowieka występują najwyraźniej w stosunkach między „państwem" a służącymi (sztywni lokaje są już na wymarciu), które jakoś nie mogą oswoić się z duchem nowych czasów i korzystać w pełnym zakresie z przysługujących im uprawnień i zdobyczy socjalnych.

Przypisać to należy przede wszystkim „poszanowaniu" przez obie strony wciąż „żywej" tradycji, wyhodowanej — o ile chodzi o służące — przez część kleru, który „odpowiednio" urabiał światopogląd dziewczyny wiejskiej i drobiazgowo regulował sposób jej życia i zachowania się na służbie. Czynił to (i częściowo czyni dalej) za pośrednictwem ambony, różnych stowarzyszeń i bractw w rodzaju Stowarzyszenia Św. Zyty oraz — w miarę zanikania analfabetyzmu — za pośrednictwem naiwnie redagowanej i kolportowanej w szeregach służby domowej prasy specjalnej. Szczególną rolę odegrał przy tym wychodzący w Krakowie od roku 1897 miesięcznik pod zdradliwym tytułem „Przyjaciel sług", który po wyzwoleniu od roku 1919 przybrał bardziej demokratyczną nazwę „Głosu dziewcząt polskich". Przekazywane na łamach tego czasopisma rady i wskazówki dla „dziewcząt służebnych" są tak ciekawe i interesujące, że warto je dziś przypomnieć.

Do „najcenniejszych" należą wyjątki z popularnej w tym czasie książki ks. J. Bousson „O sługach i panach", przełożonej w roku 1878 na język polski i omawianej na łamach konserwatywnego „Czasu" przez samego Lucjana Siemińskiego. Zachwalając zalety stanu służebnego ks. Bousson stwierdza m. i. („Przyjaciel sług" z roku 1898 nr 4 i nast.) co następuje:

„...Opłaci się służyć, bo stan ten nakłania do pilności, a chroni od zbytniej wolności i nędzy... Opłaci się służyć, albowiem nauczysz się rozumnie sądzić o bogactwach i rozkoszach tego świata. *Państwo twoi pracują usilnie, aby uczciwie zwiększyć fortunę, Nie gańmy ich za to.* Ale bez ubliżenia należnego im szacunku spostrzeżesz, że im więcej posiadają, tym więcej pragną... Ani chwili nie mają spoczynku i to nazwiesz szczęściem? *Widzisz jak bogaci płaczą, cierpią, umierają. Lituj się nad ich niedolą i powiedz sobie: na co mi bogactwo.* Służąca doskonała spełnia radośnie wszystko co do niej należy i *patrzy z zadowoleniem na swą zależność i niskość w społeczeństwie... Patrzy na przyjemności świata, nie pożądając jego zabaw i radości. Jej skarbem jest ubóstwo, jej wielkością poniżenie, na które ją Bóg stworzył, jej radość i szczęście praca, której wymaga od niej dzień każdy, jako należnego podatku...*

Prawa Ewangelii i Kościoła są regułami jej czynów i myśli. Wszystkie jej nadzieje leżą w obietnicach Boga. Ciągle powtarza te słowa: Błogosławieni ubodzy...

Uważa swoich państwa jako przedstawicieli Boga, szanuje ich z tego względu, mimo ułomności, kocha mimo wad. Interes ich jest jej interesem. Zawsze skora do posłuszeństwa, uważa dom swoich państwa jako świątynię... Widzi tylko, co widzieć powinna, słucha, co jej należy słuchać..., ma ręce ale używa ich tylko do pracy... Prosta, skromna, poważna całą powierzchownością oznajmia duszę czystą, obyczaje przykładne, prawe sumienie, wstręt do złego „miłość do dobrego..."

Rozwinięciem „skarbniczki nauk dla sług" ks. Bousson zajmuje się w latach następnych na łamach „Przyjaciela sług" płodny w tym czasie autor ks. St. N. (nazwiska nie udało mi się odkryć), który na kanwie rozważań o cnotach precyzuje ścisłe reguły życia i zachowania się służących. Pisząc m. i. o cnocie wstrzemięźliwości stwierdza, że:

"...Wstrzemięźliwość jest to cnota, która poskramia zmysłowe żądze i miarę w nich utrzymuje... Wstrzemięźliwość czyni człowieka wstydliwym, skromnym, pracowitym, pochopnym do modlitwy. *Poskramiajcie przeto w sobie Kochane sługi, wszelkie żądze cielesne!...*

Człowiek wstrzemięźliwy jest uważny, roztropny i cichy, przez co unika okazji do zwady. Nawet niesłusznie skrzywdzony umie zapanować nad sobą, praca i oszczędność to jego cnoty...

Co do używania pokarmi i napoju, trzymajcie się zasad następujących: nie jedzcie za wiele, lecz tylko tyle, ile potrzeba do utrzymania zdrowia i sił do pracy — nie jedzcie często, ani poza czasem — nie jedzcie chciwie, ani nie szukajcie wykwintnych potraw, *przestrzegajcie za to pilnie postów nakazanych i bądźcie skłonniejsze do umartwiania niż do pieszczenia swego ciała...*"

Jeszcze poważniejsze zobowiązania nakładają na służące cnoty skromności i czystości (v. „Przyjaciel sług" nr 4 z 1901 roku):

...„Dał ci Pan Bóg urodę, zachowaj ją — odmówił ci jej, nie staraj się o nia sztucznymi środkami...

Trzymaj zawsze oczy na wodzy, nie rzucaj nimi na wszystkie strony, na ulicy nie przeszywaj przechodniów zuchwale, nie mierz mężczyzn wyzywającym wzrokiem, trzymać je raczej lekko spuszczone... Chód twój niech nie będzie pospieszny i wyszukany, ani też zbyt ociężały. Unikaj gwałtownych poruszeń rąk, głowy nie zadzieraj w górę, ani też nie przechylaj jej zbytnio na dół, siedząc nie wyginaj się, ani wyciągaj nieskromnie — nie krzyżuj nóg nigdy...!

Czystość jest to cnota, która trzyma w karbach żądze zmysłowe. Kto dochowa dziewictwa, ten ma przyobiecaną nagrodę, że będzie chodził za Barankiem i śpiewał pieśń nową, której nikt śpiewać nie może. Pan Bóg tak umiłował tę cnotę, że Synowi Swemu obrał za matkę Niepokalaną Dziewicę, *a z Apostołów najbardziej miłował Zbawiciel Św. Jana, który był dziewicą(?!)...*

...Choćby cię kto jak najbardziej do złego namawiał, choćby ci złote góry obiecywał, choćby ci obiecywał pojąć cię za żonę, choćby klękał i palce na krzyż składał i przysięgał, że cię pojmie, odepchnij go i uciekaj od niego. Św. Justyna policzek wycięła młodzieńcowi, który przemocą chciał ją znieważyć. Tak i ty nie rób sobie wiele zachodów i ceremonii z napastnikami... *Niech cię diabeł, mówi Św. Hieronim, zawsze znajdzie zajętą, a nie tak łatwo cię zwycięży. Wyszukaj więc sobie jakieś zatrudnienie. Jeżeli nie masz co robić rękami, to rozmyślaj o rzeczach ostatecznych, aby ci obrzydł świat i zgorzkniały pociechy jego!...*

Czuwaj nad zmysłami, a szczególnie nad okiem które jest główną bramą żądzy nieczystej... *Nie chodź na tańce, bo tańce są grobem wstydliwości.* Kiedy tańczysz czas ucieka, śmierć nadchodzi, a ta śmierć zaprosi cię niebawem do tańca a ciężkie jęki konania będą muzyką twoją..."

Uczony ks. St. N. w swych dociekaniach moralnych, usiłujących wbrew naturze odmówić przykutym do kuchni dziewczętom wiejskim prawa do pełnego życia i godziwej rozrywki, zabrnął — jak widzimy — tak daleko, że nawet św. Jana zrobił dziewicą...

Niemniej na tle jego wypowiedzi oraz międzynarodowej „skarbniczki nauk moralnych dla sług" ks. Bousson — wydaje się mało prawdopodobne, aby państwo Vang i służąca Ditta mówili sobie po imieniu, wzajemnie sobie usługiwali i razem chodzili do teatru...

Nie wynika z tego jednak, aby jurny pan Vang nie skorzystał z okazji przespania się z piękną Dittą. Podniesiona przez recenzenta „Ditty" zrezygnowana („melancholijny uśmiech") tolerancja jego małżonki — to osobne, raczej psychopatyczne zagadnienie.

Władysław Błachut

W sprawie „Marsylianki"

Do Redaktora „Odrodzenia"

Z zainteresowaniem odczytałem w numerze 29 (242) „Odrodzenia" artykuł Gabriela Karskiego pt. „Marsylianka" referujący chwilę powstania hymnu francuskiego, który sporą odegrał rolę w walkach rewolucji francuskiej z koalicją europejską.

Mowa w tym artykule również o przekładzie „Marsylianki" na język polski pt. „Pieśń Marselczyków". Wiadomość o tym przekładzie zaczerpnął Gabriel Karski z pracy dra Heleny Rzadkowskiej „Stosunek polskiej opinii publicznej do rewolucji francuskiej" (Warszawa 1948).

Gwoli ścisłości muszę stwierdzić, że cytowana przez dra Rzadkowską i wydrukowana w przypisach do jej pracy „Pieśń Marselczyków" jest tylko jednym — i to nie najwcześniejszym — z sześciu przekładów „Marsylianki" na język polski z r. 1792. Ta właśnie okoliczność, której dr Rzadkowska nie zna, świadczy — obok innych jeszcze, nie uwzględnionych przez nią momentów natury literackiej — o głębszym i szerszym, niż by to można sądzić z pracy dra Rzadkowskiej, wpływie rewolucji francuskiej na polską opinię publiczną.

„Pieśń Marselczyków", zwana w rękopisach osiemnastowiecznych również i „Hymnem Marsylczyków", nie jest utworem pod względem literackim słabym, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę okoliczności historyczne. Jeżeli zaś wywarła na Gabrielu Karskim niezbyt korzystne wrażenie jako utwór literacki, można to m. i. przypisać i tej okoliczności, że tekst tego przekładu, wydrukowany w pracy dra H. Rzadkowskiej, jest tekstem wadliwym: jest w nim sporo błędów, wynikających ze źle odczytanego rękopisu, które zniekształcają sens utworu.

Juliusz Nowak-Dłużewski
(Warszawa)

WYŻSZA SZKOŁA FILMOWA

posiada wydziały: realizatorski i operatorski.

Nauka jest bezpłatna i trwa 4 lata. Przy Szkole istnieje internat (ilość miejsc ograniczona). Studenci otrzymują całodzienne utrzymanie.

Zapisy przyjmuje Sekretariat Wyższej Szkoły Filmowej, Łódź, Targowa 61.

K 15-1

Kronika radziecka

II Zjazd Zw. Pisarzy Radzieckich Białorusi odbył się w Mińsku. **K. Simonow,** delegat Związku Pisarzy ZSRR, wygłosił referat o literaturze białoruskiej, jej rozwoju w latach porewolucyjnych, o jej znaczeniu ideologicznym dla społeczeństwa białoruskiego. W żywej dyskusji wypowiedzieli się pisarze białoruscy. Obrady zakończono wyborem nowego prezydium Związku Pisarzy BRR, w skład którego weszli: **P. Browka,** jako przewodniczący, **P. Kowalew,** jako sekretarz generalny; członkami prezydium zostali wybrani **J. Kołas, K. Krapiwa, M. Łyńkow, P. Hlebka.**

Pablo Neruda w ZSRR. Związek Pisarzy ZSRR i WOKS zaprosili do Moskwy na uroczystości puszkinowskie wielu pisarzy zagranicznych. Przybyli m. i. **Jan Drda** (Czechosłowacja) **P. Blackman** (poeta murzyński), **M. Andersen Nexö** (Dania), **Pablo Neruda** (Chile). W celu zaznajomienia szerszego ogółu radzieckiego z dorobkiem twórczym wybitnych gości, Związek Pisarzy ZSRR urządził parę wieczorów-akademii. Wieczór, poświęcony twórczości znakomitego poety chilijskiego **Pabla Nerudy,** odbył się w Moskwie w drugiej połowie czerwca. W części oficjalnej wieczoru wystąpili kolejno: **A. Fadiejew, N. Gribaczow, E. Dolmatowski, A. Sofronow, I. Erenburg, Pablo Neruda, Jan Drda** i poeta chiński **Emi Siao. Pablo Neruda** przedstawił w krótkim przemówieniu obecną sytuację polityczno - społeczną w Ameryce Łacińskiej, scharakteryzował położenie mas pracujących i podkreślił ich wiarę w zwycięstwo socjalizmu.

Recytacją wierszy poety chilijskiego, w wykonaniu **W. Aksionowa, T. Krasnuszkiny** i i. zakończono wieczór.

Cenny dar K. Fiedina dla biblioteki w Saratowie. Biblioteka uniwersytecka im. Czernyszewskiego w Saratowie otrzymała w darze od **Konstantego Fiedina,** znanego pisarza rosyjskiego, zbiór niezwykle cennych dokumentów historycznych pt. „Statuty i manifesty cerkwi pod wezwaniem Przenajśw. Bogurodzicy pow. Sankt-Petersburski, we wsi Rybackiej. 1742 — 1840 r.". 250 dokumentów w 10 zeszytach stanowi całość zbioru i obejmuje okres stuletni. Dla badacza tej epoki są to dokumenty niezmiernie ważne, szczególnie te, które odnoszą się do czasów wojen napoleońskich, do okresu działalności dekabrystów, nadto tajne komunikaty o buntach spowodowanych szerzącą się w kraju zarazą cholery. Dekrety rządu carskiego, jako zwierzchniej władzy cerkwi są również niezmiernie ważne.

Nowe kadry uczonych przygotowuje Akademia Nauk ZSRR w swoich instytutach i filiach. Reprezentują oni 53 narodowości. Ponad 1.700 osób w tym przeszło trzecia część kobiet, to aspiranci i doktoranci.

100 rocznicę śmierci Fr. Chopina uczci ZSRR specjalnym programem dwumiesięcznym (wrzesień — październik br.). Filharmonie Państwowe przygotowują programy koncertów chopinowskich, Muzeum Kultury Muzycznej w Moskwie urządza wystawę poświęconą życiu i twórczości kompozytora, Wydawnictwo Muzyczne przygotowuje do druku monografię o Chopinie, popularne wydanie biografii kompozytora i książkę pt. „Chopin i polska muzyka narodowa". W bieżącym roku zakończy się wydanie wszystkich utworów fortepianowych Chopina. Walce i nokturny będą również wydane w opracowaniu na skrzypce i wiolonczelę. Kompozytor **Lapunow** skomponował poemat symfoniczny pt. „Żelazowa Wola"; poemat ten wykona Państwowa Orkiestra Symfoniczna ZSRR pod kierownictwem **K. Kondraszina.**

Na magistralach komunizmu. W sezonie 1948/49 Moskiewski Teatr Artystyczny wystawił sztukę **Anatola Surowa** pt. „Zielona ulica". Nadało ją również radio. Życiowa tematyka sztuki zyskała nie tylko ogólne uznanie publiczności i krytyki, ale, co jest niezmiernie charakterystyczne dla stosunków w Związku Radzieckim przyczyniła się do wymiany listów między słuchaczem miejscowości prowincjonalnej a autorem sztuki. **Borys Jegorow,** maszynista ze stacji Łozowa zwrócił się listownie do Anatola Surowa, autora „Zielonej ulicy", wyrażając mu wdzięczność za poruszone zagadnienia i ich rozwiązanie. Bohater sztuki, Aleksy Sibiriakow stał się wzorem dla takich robotników, jak on, Jegorow, który dąży do podniesienia jakości pracy i swoim przykładem porywa współtowarzyszy. Borys Jegorow maszynista-przodownik pracy, tworzy cały ruch współzawodnictwa na odcinku węzła kolejowego Południe, pragnie dotrzeć do swojej „zielonej ulicy" przez odpowiednie zaoszczędzenie czasu i materiału. Prosi Surowa o pisanie podobnych sztuk jak „Zielona ulica", bo one **„pomagają nam po krywonosowsku prowadzić pociągi Zwycięstwa do końcowej stacji — Komunizmu".** Surow stwierdza w swej odpowiedzi na list Jegorowa, że chcé figuruje jako autor sztuki, to w gruncie rzeczy współautorami jej są właśnie tacy ludzie, jak Jegorow; tylko dzięki ich pracy, jego sztuka mogła powstać i uzyskać odpowiedni rezonans.

bm

Mimochodem

Szkoła życia

Przeczytałem przed rokiem, w jednym z pism literackich, zdanie następujące: powieściopisarz winien się uczyć w szkole życia, krytyk — w bibliotece. Zdanie to, choć niepozbawione częściowej słuszności, budzi jednak chęć dyskusji. Można zaczepić obie strony tego równania o wielkiej ilości niewiadomych.

Mieliśmy w naszej własnej literaturze przykłady powieściopisarzy, którzy skorzystali niemało w bibliotecznych zaciszach. Jedno nazwisko szczególnie może zaważyć na szali: rapperswilski bibliotekarz, Stefan Żeromski (przypomnijmy sobie „Popioły"). To prawda, że Tadeusz Brezą pisząc przed 14 laty w miesięczniku literackim „Studio" o erudycji w powieści, uznał ją za balast, którego winien się pozbyć pisarz dobrze konstruujący swe dzieło. Jednak był to ze strony przyszłego autora „Murów Jerycha" chyba raczej akt przekory. On sam, już w pierwszej swej i niesłusznie zapomnianej książce „Adam Grywałd" dał dowód, jak pobudzająco działa na twórcę szkoła ścisłego, lub historycznego myślenia. Najszczęśliwiej rozwiązał ten zawiły problem prof. Leon Chwistek, pisząc w swej książce „Zagadnienia kultury duchowej w Polsce", że praca naukowa w pewnym tylko momencie działa hamująco na impet twórczy; później następuje bowiem — zdwojony wybuch natchnienia.

Czy krytyk winien się uczyć przede wszystkim w zaciszach bibliotek? Trudno temu zaprzeczyć! Nieustający wyścig z narastającym materiałem badań jest jednym z najtrudniejszych zagadnień uczciwej pracy krytycznej. Irzykowski mawiał żartem, iż marzy czasem o jakiejś katastrofie, która by przerwała na chwilę ów ciągle pęczniejący dopływ rzeczy godnych lektury. Bo przecież krytyk musi czytać nie tylko dzieło, które zamierza zrecenzować, ale i inne, dające mu pojęcie o całości procesów i o ogólnej panoramie wydarzeń. Żona jednego z naszych estetyków XIX wieku wszedłszy nagle do gabinetu męża, zastała go pogrążonego w lekturze.

— Cóż ty robisz? — spytała, wzburzona.

— No właśnie, czytam — odpowiedział krytyk.

— Ależ ty nie jesteś od czytania, tylko od pisania — zawyrokowała dama.

Nie zgadzając się z panią, ignorującą wartość lektury, pamiętajmy jednak, że nawet najzasobniejsza biblioteka nie może krytykowi wystarczyć. By dobrze gospodarować swą wiedzą literacką, musi umieć nie tylko czytać i myśleć, ale także patrzeć i doznawać wrażeń. Musi tkwić w samym ośrodku życiowych zdarzeń, znać źródła wzruszeń, z którymi wiąże się twórczość. Jednym z najistotniejszych zadań krytyki jest: wywoływać wokół dzieł literackich zapładniający ruch umysłowy, prowadzić wielką dyskusję, inicjować oddźwięk, bez którego dzieła — nawet czytane — wpadałyby w czeluść, jak strącane z gór kamienie. By dyskusję taką wywołać, nie wystarczy przebywać w bibliotekach. Inteligencję potrzebną krytykowi zdefiniowałbym jako umiejętność racjonalnego gospodarowania posiadanymi wiadomościami. Mamy niezbyt wiele przykładów krytyki czysto erudycyjnej, drewnianej — i pełnej, wskutek tego, błędów.

Dwóch ostateczności w każdym razie unikać należy — i o nich mówią dwie anegdoty. Pewien historyk literatury, znany przed wojną z tego, że lubił chodzić do kawiarni i dancingów, spotkał w bibliotece kolegę. Z udanym wzburzeniem, zawołał dowcipnie:

— W jak dziwnych lokalach spotkać można badacza!... — Oto jedna ostateczność.

A druga? Przed dwudziestu laty francuski krytyk teatralny, Paul Souday, ciężko już chory, szepnął do jednego z przyjaciół:

— Lękam się śmierci tylko dlatego, że nie wiem, jak są zaopatrzone w książki — biblioteki tam, w górze...

W. N.

Ukazał się interesujący 6-7 numer »Myśli Współczesnej» poświęcony głównie zagadnieniu reformy szkół wyższych w Polsce

ARTYKUŁY

Prof. dr. Chałasiński Józef — Reforma studiów humanistycznych.
Inż. WMin. Golański Henryk — Reforma wyższego szkolnictwa technicznego
Prof. dr. Wasilkowski Jan — Reforma studiów prawnych.
Minc Bronisław. — Podstawowe założenie Planu 6—letniego.
Dr. Muszkat Marian — Kosmopolityka w prawie narodów.

KRONIKA RADZIECKA.

Simonow Konstanty — Zadania radzieckiej dramaturgii i krytyka teatralna.

KRONIKA POLITYCZNA.

Dr Suchy J. del. Polski do ONZ — Zagadnienia Hiszpanii frankistowskiej.

KRONIKA ZNP.

Dr. Rynkowska Anna — Polskie Towarzystwo Hostoryczne Oddział z Łodzi.
Szwejcerowa Aniela — W spranie reorganizacji bibliotek naukowych.

RECENZJE.

Dr. Piotrowska - Hochfeldowa. K. — P. M. Swezy :
»Teoria rozwoju kapitalizmu »

Adres Redakcji :Warszawa ul . Narbutta 8. m.6 tel. 41 367.
Adres Admistracji :W-wa ul Smolna 12. tel.
Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza.
»PRASA»

Cena pojedynczego numeru zł. 100-
Prenumerata półroczna 500, roczna 1.000. zł.
Konto PKO. I-1374.

KRAMIK BUKINISTY

O strojach Ministra Brühla

...Brühl znany był z przesadnej elegancji w stroju. Uganiał się za modą; szaty jedne rzadko kiedy dwa razy nosił, lecz według mody francuskiej i angielskiej odmieniał, stąd garderoba jego do tego stopnia wzrosła, że można ją było nazwac gabinetem szat. Chełpił się tym i lubił ten zbiór w osobnej sali umieszczony okazywać gościom. Każdy, kto go o to prosił, przyjemność mu robił.

Poseł angielski na prośbę swoją wprowadzony był do tej sali; obsiadując u niego podziwia ten zbiór historyczny i te rozmaite zmiany mody, a spojrzawszy na oszklone szafy, w których kilkadziesiąt par trzewików i butów umieszczonych było, rzekł: „Teraz się nie dziwię dlaczego cały lud polski boso chodzi, gdy ich obuwie widzę u ministra".

Kajetan Koźmian. Pamiętniki, obejmujące wspomnienia od roku 1780 do 1815. Poznań 1858. Tom I, str. 144—45.

Biskup Malinowski i Bufcio piesek starościny Małogoskiej

Szaniawska, starościna Małogoska miała Bufcia, ulubionego pięknego pieska bonońskiego, sierści białej z płowymi długimi uszkami, który chowany był u niej w wielkich pieszczotach i wygodach. Gdy mu dawano jeść garderobina powinna była ze stołu serwetę rozłożyć na posadzce, uszki pieskowi aby się nie zawalały wstążką do góry podwiązać i na grabkach srebrnych jedzenie mu podawać. Miał swe muślinowe łóżeczko i wszelką usługę.

Ksiądz Malinowski, exdominikanin, człowiek wesoły i światowy, bywając u starościny na obiadach, napisał wiersz następujący na jego pochwałę i pozyskał przeto łaskę u starościny, która wystarała się dla niego o biskupstwo.

PIEŚŃ O BUFCIU

Nie wam dziś ton mej lutni, Bogi okazałe,
Nie was spiewac zamyslam, królestw wielkich Pany,
Ni bohatyrów w laurach chcę dziś nucić pienie,
Jedynym pieśni celem jest Bufcio kochany.

Melpomeno! podszeptuj skład mej pieśni cały,
A ty ustąp mi swojej lutni Apolinie,
Abym nucić przyjemnie potrafił pochwały
Tak miłej i rozkosznej, jak Bufcio psinie.

Bufcio z natury dam ozdobny pięknością,
Którego losem szczęścia pilnie się opieka,
Co wszystkich przeszedł piesków dowcipu zręcznością,
Tym tylko, że nie gada, różni się od człeka.

Choć jedenym swojej Pani faworytem
I w wierności stateczny, i w szczęściu niehardy,
Zna dobrze co największym dla niego zaszczytem,
Komu okazać przyjaźń, a komu pogardy.

Nadto ma serce dobre, poczciwe, niezdradne,
Cała jego postawa obraz rzetelności,
Oczy szczere, przyjazne, powabne i ładne,
Ani zdrady ma w sobie, ani zawziętości.

Nie jedną z tych cnót swoich i ludzi zawstydza.
Bo kto w szczęściu niezawsze nieszczęśliwych widzi,
Jednych nieszczerze wielbi, a drugich wyszydza,
Jakimi się wadami serce Bufcia brzydzi.

Szanuj, Kloto, Bufciowe życie tak cnotliwe,
Strzeż, by go ręce śmierci nie chwytały rącze,
Niechaj długo dni miłe prowadzi szczęśliwe,
Ty, Bufciu, wspomnij na mnie, bo ja już pieśń kończę.

Antoni Magier. Estetyka miasta stołecznego Warszawy czyli historyczne opisanie rozmaitej zmiany postaci tego miasta, obyczajów mieszkańców różnego stanu... od początków panowania króla Stanisława Augusta. Rękopis Nr 1710 Bibliotek Ordynacji Zamojskich, obecnie w Bibliotece Narodowej.

Instygator Falkowski

Wiek i czas, o którym mówię, posiadał cześnika Falkowskiego, obywatela powiatu Łuckiego, nazewano go Katonem Polskim, zapewno przez bojaźń, bo każdy mógłby o nim powiedzieć, że to jest *wariat polski.* Zachowywał on ubiór i zwyczaje Zygmuntów; zacząwszy od głowy golonej, opasany po żupanie, kontusz krotki z wylotami na wierzchu, w ręku obuszek, mina sroga, spojrzenie badawcze, nikt się go śmiejącego nie widział, a rozmowy jego, nie utyskiwaniem, lecz były łajaniem i gromieniem obyczajów i zwyczajów ówczesnych. Według niego, wszystko było złem, gorszącem, występnem przeciw Bogu, na wszystko się targał i rzucał z najokropniejszym fanatyzmem, i gdyby nieszczęściem był Monarchą, inkwizycyja hiszpańska była tolerancyją w stosunku jego administracyi. Kiedy wchodził do kościoła, wszystkich strach przejmował; wszystkie go stany i znały i bały się; pewnie w tę ławkę, w którą on zasiadł nikt nie wszedł; przytem ządły, prędki, gwałtowny, mściwy — słowem, plaga spokojności. Postanowił się *defensor natus* wszystkiego, co mu się zdawało ubliżeniem starym zwyczajom, bądź religijnym, bądź towarzyskim: n. p. Xięciu Michałowi Lubomirskiemu wytoczył proces, że w Dubnie, podówczas mieście kontraktowem, bywały z Warszawy kobiety złego życia.

...Pani Chodkiewiczowej w Młynowie, jedną statuę marmurową porąbał, a inne lotkami pokaleczył z tego powodu: Pani ta do ozdobienia ogrodu i łąki przyogrodowej, poprzerzynanej biegiem różnych strumieni, formujących wysepki, sprowadziła popiersia sławnych XVIII wieku ludzi. Jadąc tamtędy Falkowski, poszedł do najbliższej, a wziąwszy ją za Św. Jana Nepomucena, ukląkł z modlitwą, po której gdy ją chciał obejrzeć, nieszczęściem ujrzał na podnożu napis *Voltaire;* rozgniewany do wściekłości, porywa za karabelę, bez której nie ruszył, obcina nos i uszy poecie, a stąd powziąwszy mniemanie, że i reszta muszą być jego towarzysze, gdy dla strumieni nie mógł się dostać suchą nogą, bierze strzelbę i potąd wojuje, pokąd nie zwyciężył. Pani Chodkiewiczowa spokojnie zniosła szkodę, bynajmniej na nią się nie żaląc, szczęśliwa, że się na tem skończyło.

Dojeżdżał także owego sławnego z irreligii i sprosznych obyczajów Henryka Niemirycza, i wygnał go z kraju. Słowem, że nie było w okolicy człowieka nowych obyczajów, któryby był wolny od jego prześladowań, a te dotykały najwięcej ludzi, bywających za granicą, lub w Warszawie i przywożących z niej zepsucia XVIII wieku.

Pamiętniki Karola Micorskiego w Zbiorze: „Pamiętniki domowe" wydane przez Michała Grabowskiego, Warszawa, 1845. Str. 232—235.

Podał do druku

Wacław Zawadzki

WIESŁAW L. BRUDZIŃSKI

FRASZKI

„EXEGI MONUMENTUM" SURREALISTY

Myślał, że wzniósł potężny pomnik sobie spiżowy
A to tylko wieżyczka była z kości słoniowej.

SŁAWA

Niedaleko od pomnika
Dwóch przechodniów raz spotykam.
Ledwie komu kiwną głową!
Równie dumnej, daję słowo,
Nie widziałem dawno pary.
Pytam: „Któż to jest ten stary,
Z czego dumny, trudno dociec?"
„To młodego Chrzana ojciec,
Więc do dumy ma powody".
„No a któż to jest ten młody?"
„Ten? To sława! Postać znana!
To jest syn starego Chrzana!"

AFORYZM

Miłość często wznosi wieże.
Ale mieszka na parterze.

FILM — kino — FILM

Kukiełki na ekranach

Ojcem radzieckiego filmu kukiełkowego jest reżyser Aleksander Ptuszko, którego film „Złoty kluczuk" wyświetlają nasze kina. Jest to pierwszy film na naszych ekranach, w którym widzimy żywych aktorów i „ożywione" kukiełki. Pierwszym filmem Ptuszki jest „Nowy Guliwer". Odegrał on pionierską rolę torując drogę tej nowej gałęzi sztuki filmowej.

Zenon Wasilewski przy pracy nad jednym ze swych żartów filmowych

Pokazał, że mała kukiełka na ekranie jest co najmniej tak „fotogeniczna" jak żywy aktor. W pierwszym filmie Ptuszki występowało aż 2000 kukiełek. „Nowego Guliwera" spotkał wspaniały sukces, utorował on drogę rozwoju filmom kukiełkowym. Powodzenie filmu kukiełkowego rosło. Już przed wojną istniały w

Bohater kukiełkowego filmu polskiego

Związku radzieckim cztery specjalne ateliers filmowe, przeznaczone wyłącznie dla filmu kukiełkowego — w Moskwie, Odessie, Tyflisie i Erywaniu. Do wybuchu wojny Aleksander Ptuszko nakręcił 40 filmów kukiełkowych i kukiełkowo-aktorskich. Jednym z nich jest właśnie „Złoty kluczyk".

Świat dziecięcej wyobraźni roi się od zabawek lalek czy zwierząt, które w świadomości dziecka żyją własnym życiem, z którymi można rozmawiać, które wymagają opieki i troskliwości i które mają wpływ na życie „prawdziwych" ludzi. Film kukiełkowy jest więc przeniesieniem na ekran świata dziecięcej wyobraźni — i podczas, gdy widz dorosły podziwiać będzie perfekcję wykonania kukiełek i precyzję ich poruszania, zdumiewać go będą tricki zastosowane w filmie, dzieci obojętnie przyjmą fakt, że pies mówi a drewniana laleczka chodzi. Będą one chłonęły samą akcję filmu. Dydaktyczna wartość filmu kukiełkowego jest tym większa, że dziecko chętniej i bardziej serio przyjmie naukę czy dobry przykład od grzecznej kukiełki — niż od pokazanego mu na ekranie jego rówieśnika. Ba, nawet do dorosłego widza przemawia mocno dydaktyzm kukiełkowej bajki właśnie ze względu na jej fantastyczną scenerię. Kukiełkowe filmy dla dorosłych dowiodły również jak doskonałym narzędziem satyry społecznej może być lalka.

Słyszeliśmy już wiele o czeskich filmach kukiełkowych, zyskały sobie one zasłużoną sławę i uznanie, szkoda tylko, że tak niewiele oglądamy ich na naszych ekranach. A przecież wszystko przemawia za tym, aby jak najwięcej ich oglądała nasza publiczność kinowa. Czeskie kukiełki „ludkowe" filmy osiągnęły powodzenie, dzięki dowcipowi i pomysłowości, dzięki wysokiemu poziomowi technicznemu i artystycznemu, a przede wszystkim, dzięki własnym twórczym koncepcjom i wartościom dydaktyczno-społecznym. „Pan Prokouk" postać stworzona przez znanego czeskiego twórcę filmów kukiełkowych Karola Zemana, jest w Czechach równie znaną osobistością, jak w Polsce Pan Bęcwalski.

Filmy te nie tylko bawią, ale również uczą młodego i dorosłego widza. Propagują one w pomysłowy i dowcipny sposób zbieranie złomu, pracę ochotniczą, szerzą idee spółdzielczości. Tematem ich jest satyra polityczna, piosenki i bajki ludowe.

Najnowszą zdobyczą czeskiego filmu „ludkowego" są szklane kukiełki. Twórcą ich jest Karol Zeman

Pomysł znakomity — czeskie wyroby szklane znane są ze swej wysokiej jakości. Ale z wprowadzeniem na ekran szklanych figurek łączy się wiele trudności, technicznych. Jak się mają poruszać szklane istotki?

Pokonano tę trudność. Zdjęcia do filmów kukiełkowych odbywają się nie w sposób ciągły, lecz każdą klatkę filmuje się osobno. Aby utrwalić na taśmie ruch trwający ledwie sekundę trzeba wykonać 24 zdjęcia kolejnych jego faz. Nie można zginać szklanej kukiełki, — sporządza się więc taką ilość odlewów

Konie z czeskiego filmu „Bunt Zabawek"

rąk czy nóg, jaka potrzebna jest do oddania na ekranie wszystkich faz ruchu. Ta bardzo żmudna praca daje jednak wspaniałe efekty nie spotykane dotąd w filmie.

Stolicą czeskich filmów kukiełkowych jest Gottwaldowo. W Polsce nad realizacją filmów kukiełkowych pracuje Zenon Wasilewski. Jest on twórcą bajki filmowej o smoku wawelskim, a obecnie realizuje groteskę filmową, której tematem jest pełen przygód sen Alojzego Piórko. Krótkometrażówka ta ma być próbą znalezienia nowego stylu filmów kukiełkowych. Ukończenie tego filmu noszącego tytuł „Sen urzędnika" przewiduje się na koniec lipca. Zenon Wasilewski projektuje w najbliższej przyszłości podjąć realizację dalszych filmów kukiełkowych opartych na ludowych podaniach, baśniach i legendach.

Bohdan Węsierski

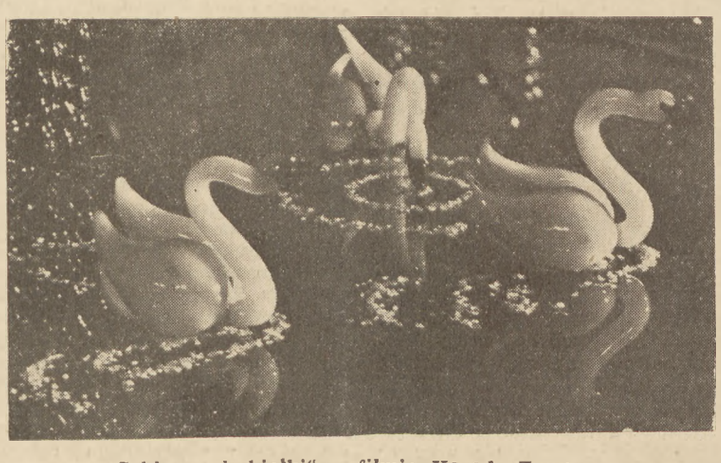

Szklane „kukiełki" w filmie Karola Zemana

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODY 2000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura".** Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek, i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 16,** Dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 2000 zł.,** którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł. 2.000 w ubiegłym tygodniu otrzymała ob. Irena Solecka, Kraków - Łagiewniki, Ułanów 457, za wycinek z „Echa Krakowskiego".

Foka & Pelikan & Bryx

Bzdura broni się do końca, do ostatniego tchu. Wygnać ją z wydawnictw książkowych — zaraz wlezie w powieść odcinkową. Przepędzić z „odcinka" — już jest gdzie indziej. Upiorny „Wańka — wstańka", którego nie można położyć. Odejmiesz dłoń i zaraz podnosi głowę.

Ostatnim bunkrem bzdury jest tzw. powieść obrazkowa. Wprawdzie i w tym najbardziej zaniedbanym kącie gazet widać czasami troskę o sens, o poprawniejszy tekst i rysunek, ale jak dotąd z marnym rezultatem. W każdym razie trzeba stwierdzić, że lepsza jest bzdura obrazkowa nie mająca nic wspólnego z rzeczywistością tego świata, niż bzdura z tzw. „wydźwiękiem". Lepiej nie żenić postępu z bzdurą. Odnosi się to przede wszystkim do spółki autorskiej „Foka & Pelikan & Bryx" z „Echa Krakowskiego".

Różni różnie dochodzą do socjalizmu. Jedni bez przygód, inni — z przygodami. Panowie „Foka & Pelikan & Bryx" dochodzą do socjalizmu z „Niezwykłymi przygodami Olesia i Bolesia":

„NIEZWYKŁE PRZYGODY OLESIA I BOLESIA"

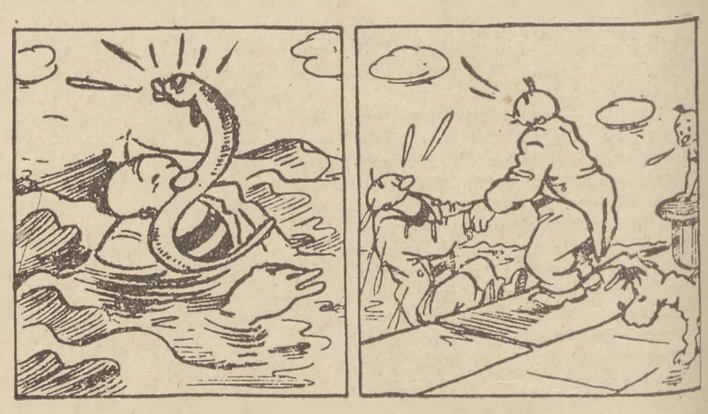

Oleś z wody nos wychylił,
w zębach trzyma... cud węgorza,
Boleś z dzieckiem — klaszczą w ręce:
— Niech nam żyje Święto Morza!

Wyciągając go na molo,
Oleś wodą morską parska,
Ileż wody jest w tym morzu!!
Nie zmieści się do naparstka!

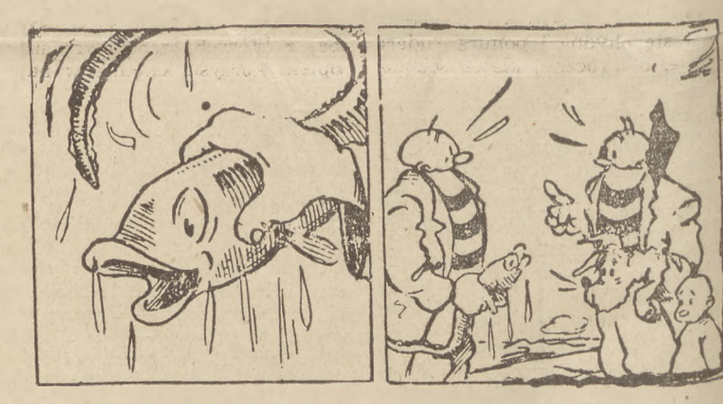

Nagle węgorz ludzkim głosem
tak odzywa się. — Czy wiecie
że najlepiej ja smakuję,
kiedy jestem w galarecie?...

Bardzo dobrze! — rzecze Boleś,
Morze ważne dla Polaków,
trzeba jednak chyba wracać,
bo za nami tęskni Kraków!...

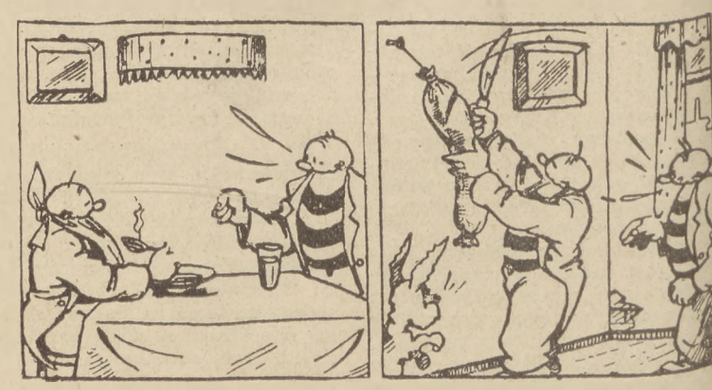

— Już nie można głowy w piasek,
tak jak strusie dłużej chować,
gdy wokoło grzmią fabryki
i powszechna odbudowa.

My musimy też — Olesiu,
zabrać wreszcie się do pracy
— Rzecze Boleś do Olesia
i coś długo mu tłumaczy.

Ja tam wolę tak, jak dotąd,
chodzić sobie po ulicy,
wąchać kwiatki i rezedę,
a nocami gwiazdki liczyć!

Chcesz koniecznie?... Proszę bardzo
Nie mam temu nic naprzeciw,
Pracuj, pracuj, a ja będę
patrzył jak słoneczko świeci!

Panowie Foka & Pelikan & Bryx! Zabrońcie ob. ob. Olesiowi i Bolesiowi gadać o fabrykach i odbudowie. Rewolucja na tym nie ucierpi...

Redaktor Naczelny: JERZY BOREJSZA Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 80-664 i 40-180 wewn. 22 — Redakcja przyjmuje od g. 11 do 13. Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 12, tel. 810-26
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5 Prenumerata miesięczna 100 zł, kwartalna 300 zł — Konto w PKO — I. 4739 B-80461 Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik"